N. 40. WARSZAWA d. 24 Września (5 Października) ROKU 1872.



TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

DEPOZYT

POWIEŚĆ

PRZEZ

WALERJĄ MARRENÉ.

Zimowy mrok zapadał nad Warszawą, powietrze było mroźne i wietrzne, krótki posępny dzień bez słońca kończył się smutnie, po głównych ulicach ludzie przesuwali się pośpiesznie, otuleni futrami, jak gdyby konieczność tylko wypędziła ich z domu, do którego napowrót dążyli.

Była to wesoła godzina dla zamożnych rodzin, gromadząca ich po dziennych zatrudnieniach lub rozrywkach u jednego stołu, ale dla biednych była to smutna pora powrotu do zimnych mieszkań, gdzie nieraz czekały ich twarze wybladłe chorobą lub głodem.

Do téj ostatniéj daleko liczniejszéj kategorji, należał człowiek, idący wolnym krokiem z pochyloną głową, ponury, zgnębiony, wzdłuż Ewangelickiego placu. A przecież rysy jego przedstawiały dziwny kontrast z wyrazem. Czoło harde i otwarte zdawało się z tych co śmiało stoją naprzeciw burzy i nie schylają się przed żadną nawałnicą: krzaczyste brwi zwieszały się nad ognistemi oczyma, nos silny o pewnych zarysach i czarny zarost, w którym gdzie niegdzie przebijały już srebrne włosy, dopełniały charakterystyki téj twarzy, któréj cechą główną była energja. Cera jéj zbronzowana, jak zwykle u ludzi, wystawionych na ciągłe zmiany powietrza, świadczyła że słoneczne skwary i wichry jesienne przechodziły swobodnie nad głową tego człowieka, a jednak pomimo to złowroga bladość powlekła wychudłe kości jego policzek. Nosił na sobie ten ubiór nieokreślony niższych warstw społeczeństwa, zależący więcéj od wypadku niż woli, ale ubranie to choć stare, zniszczone, odznaczało się pewną czystością, pomimo widocznéj nędzy, znać było że nie opuścił się on zupełnie i nie stracił poszanowania własnéj osoby.

Szedł zwolna zacierając od czasu do czasu kostniejące ręce, noszące ślady ciężkiéj pracy, ręce te muskularne zaciskały się chwilami jakby z tłumioną wściekłością, a silne pięści zdawały się wygrażać niewidzialnemu wrogowi.

Przechodził właśnie około świetnego pałacu wznoszącego się przy placu, tam wewnątrz widać było przez drzwi szklanne bogate marmurowe wschody, oświetlone gazowemi światłami. Stojąc na środku ulicy wlepił gorejące oczy w te mury wznoszące się imponującą massą na szarem tle zimowego nieba, i zapatrzył się w nie tak bardzo, że niedosłyszał zbliżającego się turkotu, i eleganckiéj ekwipaż zatrzymujący się przed bramą o mało go nie roztratował.

Furman otulony niedźwiedziem futrem, fuknął na niezgrabnego przechodnia, tym czasem lokaj zeskoczył z kozła otworzył drzwi od karety, i wysiadła z niéj strojna kobieta, aksamitny ogon jéj sukni powlókł się po zbłoconym asfalcie chodnika, i musnął odzież człowieka patrzącego z dziwnym wyrazem na tę zwyczajną scenę. Świat zbytku i świat pracy odtrąciły się wzajem, kobieta zebrała czem prędzéj fałdy sukni, mężczyzna odwrócił się, splunął jakby miał usta pełne obelg, których wymówić nie mógł i zwolna poszedł daléj ku teatralnemu placowi, oglądając się chwilami na parskające konie i na pałac którego lustrzane szyby zapalały się jedne po drugich. Sklepy nęciły oczy przechodniów świetną wystawą: smaczna a woń potraw rozchodziła się z restauracyi podwajając apetyt przechodniów, lub cierpienie tych co nie mieli środków zaspokojenia głodu. Ale któż z nasyconych troska się o to. On szedł ze spuszczoną głową jakby nie chciał słyszeć wesołéj wrzawy ulicznéj, ani widzieć téj wystawy zbytku któréj ulice miasta są jednym szeregiem, aż zatrzymało go zbiorowisko ludzi, przypatrujących się zapewne jakiejś osobliwości. Machinalnie podniósł głowę i on; za szybami kantoru opatrzonego siatką z grubego drutu, połyskały złote monety, rozkładały się banknoty, a wartość każdéj z nich, mogłaby na długo zapewnić byt i spokój nie jednéj rodzinie. Gorzki uśmiech zarysował mu się na ustach, zatrzymał się chwilę i zacisnął dłonie jakby gniótł w rękach społeczeństwo, co tak bezmyślnie drażni cierpiących widokiem płochych uciech swoich, pokazując im jak na szyderstwo pieniądz, którego nieraz pracą nawet zdobyć sobie nie mogą.

Potem, roztrącił niechętnie ludzi wpatrujących się z widoczną żądzą w szyby wekslarza, a w ruchu tem znać było pogardę i litość zarazem. W czem jednak uczucia téj gromadki ludzi różniły się od jego własnych, trudno było odgadnąć; w oku jego także migały burze, a zmroczone czoło zdawało się obarczone ciężkiemi myślami. Ale przebijała się w nim cała wyższość pojęć od instynktu, znać że to co ich przeciągało bezmyślnie, w głowie jego formułowało się w pewne zasady, zresztą on także był nędznym i głodnym, on także miał prawo spoglądać pożądliwie na ucztę życia, zastawioną tak niebacznie przed spragnionemi oczyma wydziedziczonych. Ale on groził zamiast łaknąć, przeklinał zamiast prosić, a w spojrzeniu jakie rzucał na przechodniów, widać było że pogardzał białemi rękoma i pieszczoną powierzchownością ludzi, zdenerwowanych zbytkiem i próżnowaniem. Kiedy obok niego przesuwał się młody człowiek szczupły, blady, otulając starannie twarz w fałdach szala, on zdawał się urągać mu, on co nie dbał o to, że szyja jego była nagą, że wiatr przewiewał wytartą algierkę którą przygarniał do siebie.

I daléj przesuwał się przez miasto jak cień złowrogi. W wystawach jubilerskich drogie kamienie rzucały olśniewające połyski, mieniąc się, łamiąc w kolory tęczy; na Miodowéj ulicy bławatne sklepy rozrzucały w oknach kunsztownie zmięte materye i tysiące tych świetnych fraszek nieznanego użytku

dla większéj połowy świata, a tak niezbędnych dla drugiéj.

Przed jedną z tych wystaw, stała z niemem zachwyceniem młoda dziewczyna i wpatrywała się w połyski różowego atłasu, przysłoniętego pajęczą tkanką koronek, jakby sam widok ten był dla niéj tak potężnym czarem, że kazał jej zapominać o zimnie. Daremnie podmuchy wiatru siekły jéj delikatną twarz, daremnie członki jej drżały pod seberynowym okryciem niedostatecznem na tę porę, ona nie mogła oderwać oczów od tego okna, co zaprzątało myśl jej i serce, ten różowy atłas miał może wpłynąć na jej przyszłe losy, miała może śnić o nim marzyć i unieść wspomnienie jego jak zatrutą pokusę. Była tak zapatrzona iż nie widziała jak postać mężka zatrzymała się przy niéj, a głos dobrze znany odezwał się szorstko.

— Co tu robisz Józiu?

Gorący rumieniec wystąpił jej na lice i spuściła śpiesznie na oczy starą woalkę, którą podniosła by lepiéj przypatrywać się nęcącym materjom.

— Ja; mój ojcze, odparła nieśmiało, stałam tu.... chciałam zobaczyć...

— Chciałaś przypatrzeć się tym przeklętym gałganom, za które tobie podobne zaprzedają się duszą i ciałem, czy nie tak? Myślałaś jakbyś to ty wyglądała w pięknéj sukni, zamiatając ogonem błoto uliczne do któregobyś należała, jak to czynić zwykły świetne panie, ale strzeż się, ja ci powiadam że póki ja żyję, ty nie włożysz ich na siebie. Matka twoja jest uczciwą kobietą, i ty nią być musisz, zabiłbym cię wprzód własnemi rękami.

Nie dokończył, ale wyraz twarzy jasnemi czynił ostatnie słowa.

Józia przelękniona użyła najwłaściwszéj jak sądziła w podobnéj chwili wymowy.... łez.

— Ah! zawołała ja nie zasłużyłam.

Ale tą razą płacz ten nie rozbroił ojca, może wylewał on na córkę gorycz zebraną w sercu, bo przerwał jej groźnie:

— Czymam czekać aż zasłużysz? to byłoby poniewczasie.

Ścisnął gwałtownie jej rękę i odprowadził od nęcącego widoku: czas jakiś szli w milczeniu jedno przy drugiem, dziewczyna ze spuszczoną głową i cichym smutkiem, jak dziecię zmuszone ale nie przekonane. On może zrozumiał to w końcu pomimo paroksyzmu gniewu, bo po długiéj chwili wyrzekł:

— Józiu, nie przyprowadzaj mnie do ostateczności.

W głosie jego dźwięczały teraz miękkie struny jak gdyby sam lękał się wybuchów swoich, była prawie prośba w tych słowach.

— Córka widać znała go doskonale, bo od razu podniosła głowę pewna teraz przewagi swojéj.

— Ale cóż ja uczyniłam tak złego? zapytała.

Ojciec zamyślił się widocznie, trudno mu było sformułować uczuć swoich, z pozoru postępek Józi nie zasługiwał na naganę, a jednak czuł że miał słuszność strofując ją tak surowo. Widział jak na dłoni szereg pragnień powstających w sercu dziewczyny, za nadto dobrze znał pokusy zbytku by nie wiedzieć jakie one formy przybierają. W zachwyconych oczach córki wyczytał rzeczy przejmujące go dreszczem. I znowu podniósł w górę wyzywające spojrzenie, jakby wymawiał niebu nędze tej ziemi. Pokusa otaczała ze wszech stron dziecię jego, widział ją czyhającą za połyskliwemi szybami sklepów, wpożądliwych oczach przechodniów, w tysiącznych odgłosach uciech do których daremnie rwała się jej młodość, w twardych obowiązkach codziennych, w nędzy w któréj żyć musiała.

— Po cóż wychodziłaś? spytał z kolei zamiast odpowiedzieć na jéj pytanie.

— Zabrakło mi bawełny do haftu, odparła spokojnie, a dziś koniecznie robotę skończyć muszę.

— Jesteś na złéj drodze Józiu, wyrzekł po chwili, wracając do dawnego przedmiotu, widzę to nie od dzisiaj, pożądasz tego czego mieć nie możesz, oszczę dzasz sobie kawałka chleba, by świeży kwiatek przypiąć do kapelusza, potrzebne to?

I w oburzeniu zrobił ruch jakby chciał pochwycić pączek czerwonéj róży, którym ona przybrała wyszarzany kapelusz, ale zatrzymał się, może nie chciał dochodzić do podobnego gwałtu, może miał to instynktowe poszanowanie dla rzeczy mających pewną wartość, zwykłą ludziom ciężko na chleb pracującym.

Pomimo to, dziewczyna zawołała rozżalona.

— Nie dobry jesteś ojcze, nie dość biedy którą znosić musimy, nie dość, że nigdy przez cały ciąg roku nie zaświta dla nas dzień zabawy, ty chcesz mi odebrać to jeszcze czego pragnęłam tak długo.

Ale to przypomnienie położenia, o którem on wiedział dokładnie, o którem myślał przed chwilą z goryczą, nie wywarło wrażenia na jakie rachowała Józia.

— To źle, odparł tylko ponuro, że pragniesz tego czego mieć nie możesz i nie powinnaś.

— Dla czegóż ojcze?

— Dla czego? zawołał gwałtownie, zatrzymując się i uderzając nogą z wściekłością, czy myślisz, że ja tak jestem ślepy jak matka, że nie wiem co się dzieje w twojem sercu? Do kwiatka ty pragniesz aksamitnego kapelusza, daléj jedwabnéj sukni, koni, powozów, wykwintnych obiadów, niesmakuje ci nasza skromna strawa, wstydzi cię ubogie ubranie.

— A gdyby i tak było? wyrzekła, jakby nie mogąc powstrzymać się dłużéj, nie masz się o co gniewać ojcze, czy sądzisz, że to miło siedzieć dzień cały schylona nad haftem, wypatrywać oczy bez odpoczynku, dla nędznéj zapłaty, wyszywać bogate stroje w które inne stroić się będą, a saméj drżeć od zimna w nędznem okryciu, jeść chleb suchy, jeszcze nie mieć go do syta? Wszakże i ty także pragnąłbyś dla nas lepszego losu, czy nie wolałbyś być panem niż rzemieślnikiem?

Były to zuchwałe słowa, dziewczyna wypowiedziała całą myśl swoją, słysząc je ojciec utkwił w nią swe płonące oczy z nieujętym wyrazem zgrozy i gniewu.

— Milcz, milcz! wyrzekł stłumionym głosem, ty nie wiesz sama co mówisz. Ja, dodał z dumą, ja nie mogę zazdrościć tym ludziom ich niedołęztwa, próżnego życia i marnego zbytku, ja widzę tylko niesprawiedliwość faktu, by pracujący cierpieli wszystką nędzę, a próżniacy tylko opływali we wszystko. Ale pamiętaj o tem Józiu, ja im nie zazdroszczę ja nie pomieniałbym z niemi mego zahartowanego ciała, ni tych użytecznych silnych rąk na ich wypieszczone ręce.

Mógł mówić długo w ten sposób, dziewczyna słuchała go z wyrazem twarzy świadczącym, że to subtelne rozróżnienie, uchodziło zupełnie bystrości jéj analizy. Przecież to ostatnie potępienie białych rąk dotknęło ją widoczniéj, bo nie mogła się wstrzymać od wystąpienia w ich obronie.

— Przecież one także użyteczne być mogą, wyrzekła.

— Na co? mówił daléj rozdrażniony ojciec, zapewne zdadzą się na roztrwanianie tego co inni zarobili w pocie czoła, zdadzą się do przerzucania kart, do poruszania bilardowych kijów, do....

— Niesprawiedliwym jesteś mój ojcze, przerwała Józia mająca widać jakieś szczególne powody nie zgodzenia się na zdanie jego.

— Niesprawiedliwym, powtórzył, patrząc jéj bystro w oczy, tak znajdujesz? Czy nie chodzi ci przypadkiem o pana Hieronima?

Tym razem dziewczyna umilkła i odwróciła lekko głowę, zapewne by ukryć rumieniec, którego jednak pomrok wieczorny nie pozwolił dostrzedz.

Ojciec zrozumiał znaczenie tego milczenia, zmarszczył brwi, skrzyżował silnie ręce na piersiach i znowu czas jakiś zdawał zbierać myśli.

— Nie mogę nic powiedzieć przeciwko Hieronimowi, wyrzekł w końcu, ale ostrożność zawsze potrzebna. Przytem pamiętaj dziewczyno, ja mam przyczynę nie wierzyć gładkim słówkom pięknych paniczów, ja wiem jak oni umieją ślicznie mówić a źle działać.

— Dla czegoż go posądzać bez przyczyny? szepnęła córka.

— Dla czego? dla czego? powtórzył gniewnie ojciec, ty zawsze pytasz o przyczynę, ale niech będzie jak chce, ja nie cierpię tego świata do którego ty garniesz się, bogdaj czy nie dla twego nieszczęścia. Ja nie cierpię ludzi, którzy razem ze mną nie pożywają twardego chleba pracy, co niedostatek zaznali zaledwie z nazwiska a z życia tworzą tylko próżną zabawę.

— I masz pan wielką słuszność panie Pliszka, odezwał się przy nim głos męzki pełny i dźwięczny. Ależ na Boga ja do takich nie należę.

Ojciec i córka zatopieni w rozmowie swojéj, nie zważali, że od kilku minut szedł za nimi młody człowiek i mógł słyszeć każde zamienione słowo.

— Pan Hieronim, zawołał ojciec Józi, przystając w miejscu, trochę zmieszany tem co wyrzekł.

— Piorunowałeś pan swoim zwyczajem, mówił daléj młody człowiek, zamieniwszy ukłon z Józią, na bezużytecznych członków społeczeństwa, przecież pan masz nadto rozumu, by nie przyznać, że pracy są rozmaite rodzaje, i nie zawsze twarde ręce są jéj znamieniem.

Mówił to łagodnie, a jednak w głosie jego dźwięczało tyle siły i przekonania, że nikt omylić się nie mógł na moralnéj wartości człowieka, który je wymawiał.

— Tak, odparł Pliszka ponuro, może masz pan słuszność, ja nie potrafię z pewnością mówić tak pięknie ale widziałem i ja rozmaite prace, a żadna nie wygląda tak jak nasza, do któréj budzimy się o wschodzie słońca i wierni być musimy do zachodu. Zapewne pracuje architekt co skreślił plan, który my wykonywamy, i majster co bierze pieniądze za naszą robotę, i bankier któremu pałac stawialiśmy nie dawno, tak, tak, pracują wszyscy, tylko rozmaity trud i rozmaita płaca.

I roześmiał się gorzko, szyderczo.

Młody człowiek spojrzał na niego smutnie.

— Jesteś w złéj chwili dzisiaj panie Pliszka, wyrzekł łagodnie.

— Ja zawsze jestem takim, odrzekł szorstko, nie moja wina doprawdy, lepszych nie zaznałem.

Szli przez czas jakiś wszystko troje w milczeniu, aż dostali się na jedną z tych wązkich uliczek, spuszczających się ku Wiśle. Oddalone latarnie gdzie niegdzie tylko rzucały światło na szczupły krąg bruku, zresztą wszędzie panowała ciemność. Pliszka idący naprzód zatrzymał się przed niskiemi drzwiami ubogiego domu, tam było jego mieszkanie.

— Józiu wyrzekł zwracając się do córki, idź do matki.

— A ty mój ojcze? spytała nieśmiało.

— Ja, odparł krótko, ja przyjdę niedługo.

Nie mogąc oprzeć się tak wyraźnym rozkazom,

weszła w ciemną sień domu, ojciec patrzał na nią przez chwilę, potem odwrócił się nagle i spojrzał na młodego człowieka. Stał on w jasnym promieniu latarni, której światło padało w pełni na twarz jego poważną pomimo młodości. Oczy jego przenikliwe i smutne spoczywały na Pliszce z rodzajem współczucia, szacunku i żalu.

— Panie Hieronimie, rzekł wreszcie ten ostatni ze zwykłą szorstkością jakby zdobywając się na krok stanowczy, pomówmy otwarcie.

— Wszak ja zawsze tak czynię, odparł zagadniony z dziwnym spokojem.

— Masz mi pan coś powiedzieć nie prawdaż?

— Niestety nic pocieszającego.

Rzemieślnik targnął niecierpliwym ruchem odzienie na piersiach.

— Spodziewałem się tego, odparł głucho.

Nastała chwila ciszy, tylko wiatr huczał coraz przeraźliwiéj i krąg światła latarni drżał rzucając migotliwe cienie, na martwe przedmioty i twarze dwóch ludzi, stojących naprzeciw siebie.

— Kiedy przypadkiem, wyrzekł wreszcie rzemieślnik, spotkałem pana blizko rok temu, miałem nadzieję... sądziłem że spuścizna ojca, mnie dostać się powinna, że wystarczy na to udowodnić moją tożsamość, że wreszcie martwy kapitał uwięziony tak długo w szkatule Grzegorza Pliszki posłuży na pożytek ludziom. Zapomniałem że pieniądze te są przeklęte, one to rozdzieliły mnie z ojcem i wypędziły z kraju na długoletnią tułaczkę. Nie, one nie mogły przydać się na dobre, zagarnęła ich widać obca ręka dziś obciążać muszą cudze sumienie.

Mówił to krótko, urywanie a jednak te proste słowa kosztowały go wiele, rozwiewały się w nich nadzieje jego życia, one miały dla niego znaczenie ostatecznéj nędzy, może upadku rozpaczy.

Ale ten do którego były zwrócone wstrząsnął głową z wyrazem niedowierzania.

— To dziwne, wyrzekł, mieszkałem w tym samym domu co ojciec pański, znałem go z widzenia, mówiono, że posiada skarb ukrywany pod pozorem ubóstwa. W chwili jego śmierci opieczętowano mieszkanie, późniéj na żądanie właściciela domu otworzono je w obecności policji, i nie znaleziono nic prawie, prócz pustéj otwartéj szkatułki: to nie starczyło na pogrzeb.

— Mówiłeś mi to pan nieraz, odparł smutnie rzemieślnik, a jednak tam były pieniądze.

— Tak twierdził głos ogólny, przecież fakt inaczéj pokazał.

Ironiczny uśmiech zarysował się na ustach Pliszki.

— Głos ogólny miał słuszność wyrzekł dobitnie.

— Przecież cóż stać się z niemi mogło? Z ludzi którzy otaczali go w dniach ostatnich, żaden nie zbogacił się nagle, lub nie oddalił bez wieści.

— I cóż ztąd? Bogaty mógł okraść biednego, czyż to nie zdarza się co chwila? Wszak może to śmiało uczynić, nikt go nie posądzi, pan nawet co chcesz być sprawiedliwym.

Była przymówka w tych słowach, jednak Hieronim odparł spokojnie.

— Niesprawiedliwością jest każde podejrzenie nie oparte na niczem.

— Na niczem, zawołał Pliszka, na niczem? A jednak te pieniądze były i zniknęły, chyba sam szatan się w to wmieszał, a ja wierzę tylko w szatanów co mają ludzką postać panie Hieronimie. Ale cóż miałeś mi pan powiedzieć.

— Przyszło mi na myśl, że może ojciec pański, zamurował gdzie, lub ukrył skarb swój, w mieszkaniu które zajmował, takie wypadki się zdarzają, Trzebaby tam jeszcze czynić poszukiwania, tylko rozumiesz pan dobrze, że sam czynić ich nie chcę, jutro wyprowadza się dawny lokator, przyjdź więc do niego po klucze od mieszkania ja nie będę ich miał w ręku.

— Panie Hieronimie, przerwał zafrasowany Pliszka, jak pan możesz pomyślić...

— Nieszczęście uczyniło cię nieufnym, odparł łagodnie, i nie dziw, nieszczęście uczy różnych rzeczy, o których by nam się inaczéj nie śniło, a zresztą jakież ja mogę mieć powody do twego zaufania? Nie znasz mnie, chwilowe spotkania nasze mało bardzo powiedziały nam jednemu o drugim, nie zasłużyłem na twoją ufność a nie chcę być posądzonym.

I widząc energiczne zaprzeczenie rzemieślnika dodał.

— Wiem, że nietylko głośno nie przyznałbyś mi tego panie Pliszka, ale nawet w głębi serca, w złéj chwili takiéj naprzykład jak dzisiejsza ...

Widział, że był odgadniętym, i surowa twarz jego przybrała coraz dobitniéj zwykły przykry wyraz.

— Więc dla czegóż chcesz mi pan pomódz, dla czego interesujesz się moim losem?

Hieronim spojrzał na niego głębokim wzrokiem.

— Więc pan nie wierzysz zupełnie w współczucie ludzkie?

Rzemieślnik roześmiał się głośno z widocznym przymusem.

— Nie chciałbym pana obrazić, odparł zwolna, ale ma ono zawsze jakąś przyczynę.

(d. c. n.)

JEDEN ROK

Z DZIEWIĘCIU LAT Z ŻYCIA NA PUSTYNI

(URYWEK)

przez **Ludwika Niemojowskiego**

Miejscowość w której się znajduję jest położoną pod 57° szer. geograficznej. Są to niezmierne przestrzenie wśród których nie ma ani miast, ani wsi, ani wiosek, lecz tylko małe osady zamieszkałe przez różnych sekciarzy jak np. starowierców, sobotników, skopców i. t. d. Każdą taką osadę stanowiącą zarodek osobnego życia, nie łączą żadne stosunki z innemi zamieszkałemi punktami; nietylko znaczna odległość ale i przepaść moralna, jaka istnieje pomiędzy rozlicznemi wyobrażeniami mieszkańców, sprawia podobne odosobnienie. Żaden trakt publiczny, żadna droga komunikacyjna tamtędy nie przechodzi. W zimie jest to skrystalizowany lodem, pokryty całunem śniegu obszar zdający się nie mieć końca na którym niby źdźbła wypadkami losu rzucone, czernią tu i owdzie grupy nędznych chatek lub jurt inorodców: w lecie to step zielony, bujną porosły trawą, bogaty organicznem życiem, lecz straszny swoją jednostajnością i spokojem.

Kolonija w jakiej przeznaczenie żyć mi kazało, składa się z siedmiu chat, a raczej nizkich bud na wpół w ziemię zapadłych. Tworzą one wszystkie siedem, kąt ostry zakończony wybiegającą znacznie naprzód chałupą. Ta ostatnia udziela mi przytułku.

Nastała zima podbiegunowa, owa zima straszna, długa, krystalizująca życie we wszystkich jego objawach, oziębiająca myśl człowieczą, tamująca oddech w piersi, krusząca energię, wolę, wytrwałość. Słabe światło cztero godzinnego dnia, z trudnością przedziera się przez pęcherze, zastępujące miejsce szyb w malutkich okienkach mojéj izdebki. Dwadzieścia godzin trwająca noc jest czarna, posępna, grobowa. Ludność osady złożona z samych starowierców, około dwóch dziesiątków dusz wynosząca, jest ponura, milcząca, nietowarzyska; latem pracuje około roli, zimą zamknięta w swoich izdebkach odpoczywa. W dnie uroczyste nie oddaje się hulankom lub pijaństwu, lecz modlitwie i rozmyślaniu. Każdego człowieka nie podzielającego jej przekonań religijnych, uważa za istotę niegodną, znikczemnioną moralnie, którą można tolerować niedopuszczając w żadnym razie do bliższych ze sobą stosunków. Życie obcego przybysza, którego los rzucił pomiędzy tych sekciarzy, nie jest nigdy wystawionym na żadne z ich strony niebezpieczeństwo, starowiercy albowiem brzydzą się wszelkiego rodzaju podłością i nie było dotąd przykładu, ażeby haniebna zbrodnia zabójstwa, skalała kiedykolwiek ich ręce. Ale za to ten komu przyszło żyć pomiędzy niemi, staje się bezwarunkowo jednostką w pośród otaczającego go świata.

Wiedziałem ja dobrze o tem. Mogłem wybrać na mieszkanie jaką wesołą, towarzyską, wrzącą życiem, huczącą hulacką pieśnią, wioskę, wybrałem utajone w stepie gniazdo ponurych sekciarzy; wolałem być otoczonym wszystkiemi zewnętrznemi pozorami grobu, niźli znaleźć pod ułudą życia grób rzeczywisty.

Cisza jaka mnie otacza do koła jest przerażającą. Swiat cały niby jedna ogromna bryła lodu zdaje się być martwym, bezpłodnym, nieczułym: wzrok zmęczony ową ciągłą szklistą białością, nie ma gdzie spocząć, wytężony słuch napróżno stara się uchwycić jaki oddźwięk znaczący tętno życia, wśród tego bezwarunkowego milczenia—nic: choćby szczeknięcie psa, choćby ryk bydła, choćby wreszcie krakanie złowrogiej wrony, któreby swym głosem oznajmiało organiczne istnienie. Ludzi nie słychać, odrętwiałe mrozem zwierzęta milczą, czasami tylko pośród ciemnej nocy, przeraźliwe wycie zgłodniałych wilków przerywa tę ciszę.

Przez obite szczelnie wojłokami ściany izdebki, żadne zewnętrzne szmery mnie nie dochodzą. Obok zamieszkuje rodzina starowierców, a przecież zdaje mi się, że tam nie ma nikogo. Oni nie mówią, nie chodzą, nie objawiają niczem swéj obecności: oni modlą się tylko w milczeniu. Trzy razy dziennie gospodyni domu przynosi mi skromny posiłek. Jest to kobieta wysoka, sztywna o rysach twarzy wyrazistych, o wejrzeniu ponurem i ascetycznem. Niby martwy automat sztuczną poruszany siłą, stawia w milczeniu samowar lub miskę strawy na stole i znika. Na zadane zapytania odpowiada jednem słowem, kiwnięciem głowy, lub najczęściéj nie odpowiada wcale. Innych członków rodziny nie widuję wcale, wejść do ich przedziału niepozwala mi dobrowolnie przyjęte przy najęciu mieszkania zobowiązanie. Raz tylko jeden w czasie długo trwałéj zimy, przestąpił próg zajmowanéj przeze mnie izdebki sam gospodarz, patryarcha rodziny. Powód który mu kazał odstąpić od przyjętych zwyczajów, musiał być nader ważnym, dla tego też ciekawością zdjęty spojrzałem na pojawiającą się przedemną osobistość. Był to starzec o wspaniałéj postawie, długiéj białéj aż do pasa spływającéj brodzie, oczach głęboko w policzki zapadniętych, których blask oznaczał jedną wyłączną ideę, jakiéj całe swe życie poświęcał. Podobnym blaskiem lśnią tylko spojrzenia obłąkanych lub fanatyków.

— „Człowieku,“ rzekł zwolna przytłumionym głosem, przyszedłem do ciebie, nie jako brat bo braćmi nie mogą być mi ci, którzy nie dzielą moich przekonań, ale jako apostoł prawdy. Głosić zawsze prawdę i naprowadzać na dobrą drogę zbłąkanych jest naszym obowiązkiem Przyjmując cię dobrowolnie pod swój dach objaśniłem czego żądam po tobie: cichości, skromnego życia, i wyparcia się wszelkich złych nałogów. Zgodziłeś się na to mówiąc, że cichość lubisz skromność jest twoją zasadą, a nałogów szkodliwych,

nie posiadasz żadnych. Dwa pierwsze warunki wypełniasz; nie słychać ciebie, nie widać, wódka była zawsze ci obcą, ale na nieszczęście nie jesteś wolnym od strasznego nałogu palenia fajki. Otóż więc przyszedłem powiedzieć że jeżeli nie porzucisz téj brzydkiéj namiętności, będziemy zmuszeni wypowiedzieć ci mieszkanie. (*)

W każdéj innéj okoliczności życia, roześmiałbym się tylko nad tyle dziwnym a tak pompatycznie objawionem żądaniem, tu zaś obawa utracenia bezpiecznego schronienia sprawiła, że nie dając przystępu żartom odpowiedziałem równie poważnym tonem:

— Szanuję wasze przekonania. szanujcie więc i moje. Nie czynię nic złego ani drugim ani sobie, nie przeszkadzam wam w waszych obrządkach i modlitwach, zostawcież mi wolność użycia jedynéj możliwéj rozrywki w téj samotności, jeżeli zaś nie zgodzisz się na to, jestem gotów opuścić was.

Staruszek próbował jeszcze różnych perswazyi, przytaczał wyjątki ze starych ksiąg, lecz widząc, że nie odstąpię od swego zdania, a nie mając jak się zdaje ochoty utracić spokojnego i cichego lokatora, westchnął głęboko dodając na pożegnanie.

— Rób zresztą jak chcesz. Ja wypełniłem swoją powinność przestrzegając cię. Od tej chwili grzech twój przestaje być moim.

Odszedł, a ja go już więcéj nie widziałem.

To było jedyne ważniejsze zdarzenie przerywające jednostajność życia w czasie trwania długiéj, podbiegunowéj zimy. Odtąd dnie płynęły znowu jeden za drugim ciężkie, ciche, ciemne. Pęcherzowe powłoki jakiemi opatrzone były okna, zaledwie słaby blask światła przepuszczały, noc zdająca się nie mieć końca jeszcze smutniejsze wrażenie budziła.

Zostawszy jednostką na świecie zacząłem żyć życiem wewnętrznem. Życie to pełne tajemnic. illuzyi, i fantastycznych widziadeł, może być tylko pojętem przez ludzi mieszkających na pustyni. Jeżeli człowiek dotknięty strasznem nieszczęściem, lub nieznającą granic boleścią, lecz rzucony zarazem w wir ruchliwéj społeczności, zapragnie usunąć się od niéj, to pomimo najszczerszéj chęci nigdy bezwarunkowo dokonać tego nie zdoła. Kipiące do koła życie, przeciska się gwałtownie przez szczeliny moralnego przedziału jakim się pragnął obwarować, i dochodzi zewsząd wiążąc bezprzestannie nić jego istnienia z ogólną siecią organizacyi społecznéj. Najcichsza ustronie, najsurowszéj reguły klasztor, nie zdołają wyrwać zniechęconego światem z pod prawa natury, nie dozwalającéj cząstce ludzkości stać się jednostką.

Tu na pustyni gdzie na obszarach bez końca zaledwie garstka ludzi jest rozrzucona, garstka którą nic nie wiąże pomiędzy sobą, która nie wie czem są warunki społecznego bytu, która nie pojmuje ani obowiązków człowieka, ani rozkoszy duchowych, odłączenie podobne następuje równie łatwo, jak niepostrzeżenie.

W pierwszych chwilach człowiek odłączony od towarzystwa ludzi, nie może pogodzić się ze swoją samotnością. Puka do piersi automatów, szukając tam serca, wytęża wzrok w ciemnocie pragnąc dopatrzyć tam światła, zagłębia się w lód i śnieg chcąc znaleść na dnie martwéj powłoki choć odrobinę żywotnego ciepła. Gdy jednakże automat odpowie milczeniem, noc zarzuci czarny całun na wyobraźnię, a lud zamrozi sympatycznie wyciągniętą rękę, zasklepia się niby ślimak ostrym rażony przedmiotem w ciasnéj skorupie swojego bytu, i żyje sam w sobie.

Wtedy myśl jego pracuje bez ustanku. Myśl ta pozostawiona własnemu kierunkowi, prowadzi do zniechęcenia, rozpaczy i upadku: wsparta łaską wyrabia i podnosi ducha. Rzecz to nader prosta. Całą tajemnicą życia jest poznanie samego siebie: gdyby człowiek mógł zgłębić całą swoją istotę, we wszystkich jéj odcieniach, zbliżyłby się do źródła wiekuistéj prawdy, ale jestżeż kto z nas któryby zdołał zbadać siebie wszechstronnie? Gonimy za naukami, przywiązujemy się do znikomych uczuć, szukamy przelotnych wrażeń; chcemy znać wszystko a siebie samych nie znamy. Jeżeli obrócimy czasami myśl naszą w głąb duszy, to albo postronne wrażenia i szereg przemijających wypadków odpychają ją gwałtownie na zewnątrz, albo też nieodłączny wpływ miłości własnéj, zarozumiałości, fałszywy jéj daje kierunek.

W samotności inaczej się dzieje: człowiek obraca wzrok do koła i nie widzi podobnej sobie istoty, szuka punktu oparcia dla swojej myśli a znaleść go nie jest w stanie: nie mogąc więc żyć teraźniejszością obraca się w przeszłość. Ubiegłe wypadki przesuwają się w jego wyobraźni jedne za drugimi nie ubrane już w szaty illuzyj, ale proste, nagie, rzeczywiste; rozważa je i kombinuje, pragnie dojść przyczyny każdego wypadku, a każda rzecz z innej przedstawia mu się strony. Nie zaślepiony zarozumiałością która w samotnem życiu żadnej nie może mieć podniety, widzi że wszystko złe, które go spotkało, z jego własnej wypłynęło winy. Narzekał na ludzi że mu byli obojętnymi, a nie umiał ich kochać: ubolewał nad upadkiem przyjaznych uczuć, a niczego nie uczynił żeby je utrwalić: powstawał przeciwko przeznaczeniom losu, a sam pod sobą przepaść wykopał: zaślepiony miłością własną cenił samego siebie, a innych cenić nie umiał.

Przebiegłszy tym sposobem myślą przeszłość swoją, i widząc, że wszystkich jej niedostatków pierwszym był powodem, człowiek zastanawia się mimowolnie nad czynnikami, które go mimowolnie po tej drodze popychały: nad wadami i błędami swojemi. Te wady i te błędy widzi on jasno, wyraźnie—już go nie zaślepia najemny podszept pochlebstwa, już nie odwraca jego uwagi nawał krzyżujących się myśli, wrażeń i wypadków. Sam wśród wiecznej przerażającej jednostajności, kładzie z zimną krwią na szali przeznaczenia wszystko złe i dobre i przekonywa się jak dalece pierwsze przeważa. Poznanie to jest przebudowaniem gmachu własnej istoty. Następuje praca na pozór olbrzymia, ale która bez trudów i z szybkością postępuje, bo siłę jej, daje zesłana łaska boża, a trwałością zdobytą niaszczęściem chrześcijańska pokora.

Żyjąc owem życiem zdołałem przygłuszyć stopniowo swoje cierpienia; wśród ciasnego widokręgu jaki zwisł nad moją głową, utworzyłem sobie nowy świat duchowy. Bez książek, zajęć, pozbawiony widoku ludzi, osamotniony wśród śnieżnej pustyni, nie czułem swojego opuszczenia. Kiedy mróz podbiegunowy ubezwładniał wszelkie objawy organicznego bytu, kiedy szalony wicher rozhulawszy się po stepie bił śniegiem o pęcherzową powłokę moich okienek, kiedy stada zgłodniałych wilków wtorując żałosnym swym głosem powszechnemu smutkowi natury, wyły przeraźliwie—ja obojętny na wszystko co mnie otaczało, byłem daleko swą myślą po za obrębem strasznej przerażającej rzeczywistości Krótkie dnie równie jak i długie nocy przechodziły niepostrzeżone: tygodnie, miesiące mijały a jam nie czuł ich ciężaru—teraźniejszość dla mnie nie istniała.

Trafiały się jednakże chwile, w których tajemny łącznik wiążący mnie z resztą świata, rozbudził mimowolnie krystalizującą się w tem zasklepieniu działalność. Przyszła mi na myśl tyle pamiętna z młodzieńczej literatury postać Robinsona Kruzoe. Wziąłem go sobie za wzór i umyśliłem naśladować. Obserwując codziennie bieg słońca, utworzyłem po ścianie linijki oznaczające godziny a nawet i kwandranse. Samorodny ów zegar miał różne niedokładności, lecz posiadał tę zaletę, że w czasie kilku godzin dziennych, wtedy gdy słońce w pełnym blasku świeciło, oznaczał upływający czas. Potem wziąłem się do zbudowania barometru następującym sposobem. Posiadałem niektóre ingredyencye apteczne w przypuszczeniu, iż na pustyni w razie nastąpionej choroby, może wypadnie ratować się własnemi środkami. Wziąłem więc po pół grana kamfory, amoniaku i saletry i każdą z tych ingredyencyi zmięszałem osobno z wódką, kamforę zaś jako mniej rozpuszczalną grzałem przy silnym ogniu Gdy się sole dokładnie rozłożyły zlałem wszystkie trzy ciecze w jedną butelkę, zapieczętowałem lakiem i przewiesiłem tak żeby obróconą była na północ. Krystalizacye, które się tworzyły wewnątrz butelki, oznajmiały mi z największą dokładnością stan powietrza (*)

Urządziwszy tym sposobem zegar i barometr, pomyślałem nad utworzeniem sobie towarzystwa w mej samotności. Ludzie odstąpili mnie szukałem więc otoczenia zwierząt. Oddawna już wierny i przywiązany pies podzielał moją dolę, teraz zastawiwszy samotrzaski zwabiłem w nie zziębnięte i szukające pożywienia ptaszki, Biedne te stworzenia nie zdawały się żałować utraconej wolności, czuły one że tam na stepie czekała ich śmierć głodowa, i bojaźliwie z początku, potem coraz śmielej przychodziły do ręki, obdzielającej je tyle pożądanem ziarnem.

Przy podobnych zajęciach i rozrywkach przeszedł znaczny period czasu. Żadne przedwstępne zjawiska nie oznajmiały rychłego końca pory, zdającej się być normalnym stanem tych wysuniętych na północ kresów, gdy nagle, niespodziewanie nastąpiła wiosna,

Wy mieszkańcy starej Europy, przywykli do widoku stopniowych przemian w przyrodzie, które zwolna, konsekwentnie niby zegarkowy mechanizm odbywają swoje funkcye, zdołacież pojąć i zrozumieć owe nagłe przekształcenia, owe jednorazowe przeskoki, z ostateczności w ostateczność, zmieniające w danej chwili całą postać podbiegunowego świata?

Była zima. Gruba powłoka śniegu pokrywała jeszcze ziemię, jednostajną łączącą się z krańcami chmurnego widokręgu szatą: olbrzymie warstwy lodu niby kryształowe pancerze, więziły potężne rzeki w swem twardem, niewzruszonem pokryciu. Żaden objaw życia nie istniał tam, nigdzie woni roślin, śpiewu ptaków, brzęku owadów—wszędzie tylko cisza, martwość i nieruchoma bezwładność.

I nagle smutne dotąd, pokryte mgłą słońce zaczyna silnie dogrzewać, góry śniegowe chwiejąc się w swych podstawach klęsną, maleją, wyłaniając z siebie mnóstwo strumyków—szkliste pancerze rzek niewidzialną parte siłą, wzdymają ogromne swe grzbiety i pękają z hukiem do grzmotu dział podobnym. Parę dni przeszło: ze śnieżnych gór strzelających wysoko pod obłoki, pozostały zbite, nie-

(*) Palenie tytoniu uważanem jest przez starowierców za najcięższy występek, za grzech niepodobny do przebaczenia. Według ich wyobraźni, każdy występek może być prędzéj przez skruchę okupionym niżeli poddawanie się rzeczonemu nałogowi.

(przyp. aut.)

(*) Kiedy na dnie tym sposobem urządzonego barometru, tworzył się osad, można było być pewnym mrozu: kiedy w cieczy okazywały się niewielkie gwiazdeczki, niezawodną bywała burza: jeżeli zaś te gwiazdeczki w większych krystalizowały się rozmiarach oczekiwać należało śniegu. Powstanie małych punkcików znamionowało wicher, im zaś mniej one powstawały wśród cieczy, tem silniejszego zimna trzeba było się spodziewać.

(przyp: aut:)

kształtne massy, z tysiąca drobnych strumyków nurtujących swe podstawy rosną szumiące potoki, przejrzyste stawy, spokojne jeziora. Cała powierzchnia ziemi przybiera postać Oceanu, zdającego się nie mieć granic ni końca. Jeszcze dni kilka nie upłynęło a te olbrzymie zdrojowiska nikną w wnętrzu rozpulchnionéj powierzchni gruntów, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Na czarnéj ogołoconéj ze wszystkiego przestrzeni, gdzie tak długo piętrzyły się olbrzymie góry śniegowe, gdzie przed chwilą jeszcze szumiały bałwany wód, wystrzelają tu i owdzie zwiastuny nowego życia, kępki traw zielonych. Zanim wzrok przywykły do skrystalizowanéj powłoki ziemi, zdołał upamiętać się w tym niespodzianym dla niego objawie, już owe kiełkujące zdźbła roślinnego królestwa, tworzą niezmierne tchnące powabem wiosny łąki, tysiące, miljony różnobarwnych kwiatów wychylają swe główki z tego rozkosznego kobierca stepów, nago sterczące przed chwilą szkielety drzew pokrywają się pękami liści, niezliczone gromady wesołego ptastwa szczebioce gwarliwie, chmary owadów brzęczą w powietrzu, wszędzie płynie balsamiczna woń wiosny, wszędzie nieczuła martwość przemienia się w brzemienne organicznèm życiem istnienie.

I ja także oddycham pełną piersią ożywczą atmosferą przeradzającéj się przyrody: pęcherze w oknach znikły, półcienie panujące w izdebce ustąpiły miejsca jasnym blaskom słońca, duszna woń świeżemu przewiewowi orzeźwiającego wietrzyka. Rodzina mojego gospodarza, jak również i wszyscy mieszkańcy osady, udali się na robotę w pole (*) po chatach zostało tylko kilku na wpół niedołężnych starców, którzy siedząc nieruchomi na progach i patrząc ogłupiałym wzrokiem przed siebie, wymawiają mechanicznie i bezmyślnie wyrazy modlitwy. Jestem sam, prawie jak sam w pośród tego drobnego rzuconego w niezmiernéj przestrzeni stepu światka. Po całych dniach błądzę w bujnéj, sięgającéj do pasa trawie, lub zmęczony przechadzką wypoczywam w cieniu brzozowego gaiku. Jakież tam życie! Wszystko wre, roi się, kipi, porusza—wszędzie gwar, szum, świergot: każda istota zacząwszy od drobnéj zaledwie dojrzanéj gołem okiem muszki, do potężnego borów mieszkańca, pragną wynagrodzić sobie czas stracony i korzystać z krótko trwałego uśmiechu wiosny. Co chwila przeróżne i nieznane kształtem istoty przesuwują się przed moim wzrokiem; świetne, przejrzyste o złotych lub szmaragdowych skrzydełkach owady, sypią się na kobierce łąk, niby rzucane pełnemi garściami skarby drogocennych kamieni: gromady rozmaitych kształtem i barwą ptaków ulatują w powietrzu, lub napełniają gaje wesołemi śpiewy. Tu i owdzie z pomiędzy zwojów drzew i gęstych zarośli, wychyla się głowa jakiéj leśnéj poczwary ośmielonéj nieobecnością człowieka, i śledzącéj ciekawie swym pełnym okrągłym wzrokiem, wszystkie objawy życia huczącego na stepach.

(d. n.)

(*) Zwykle rolnicy Sybirscy, szczególniéj w małych odłączonych od zamieszkałych okolic wsiach, udają się z nastaniem wiosny na cały czas trwania robót w odległe pola, wraz z dobytkiem i rodzinami, i tam przez kilka tygodni pobudowawszy szałasy pozostają. Domy ich strzeżone bywają przez niezdolnych do pracy starców.

(Pzyp: aut:)

FAYUM, SINAÏ I PETRA

PODRÓŻ
DO ŚRODKOWEGO EGIPTU I ARABJI
SKALISTEJ

ODBYTA PRZEZ

SŁYNNEGO ARTYSTĘ MALARZA GÉROME

ORAZ

JEGO TOWARZYSZY I UCZNIÓW

STRESZCZONA

przez **Joannę Belejowską**.

CZĘŚĆ III.

Petra.

(*Dalszy ciąg*).

Od dni kilku grunt, przez który jechaliśmy tak nieznacznie się podwyższał, iż dopiero téraz postrzegliśmy, że znajdujemy się na wielkiéj wysokości, nieskończenie wyższéj od powierzchni morza. Nic jednak nie zapowiadało blizkości miasta i już zaczynaliśmy powątpiewać o sumienności towarzyszących nam Arabów, że podjęli się przewodniczyć nam w drodze, któréj sami nie znali, gdy nadspodziewanie czarująca panorama roztoczyła się przed nami.

Całe miasto Petra, góra *Hor* i łączące się z nią innych gór łańcuchy, ukazały nam się nagle, jak w sennem marzeniu, a po za ich wyniosłemi szczytami rysowała się pustynia, niby biaława wstęga opasująca swemi zwojami te olbrzymie skały.

Urwiste skały tworzące miasto Petra, składają się z mocno czerwonych, zwirowatych, warstw, przedstawiających tu i owdzie jakby nadętości roztopionéj lawy. Z miejsca, w którem znajdowaliśmy się, niepodobna było rozróżnić budowli i pomników miasta, mogliśmy jednak rozpoznać szczególniejsze jego rozłożenie. Otoczone ze wszech stron parowami i przepaściami, miasto, niby olbrzymi złom granitu, jest fortecą wytworzoną ręką przyrody, bronioną samem ukształtowaniem góry w któréj, że tak powiem, jest wykute. Z resztą sama nazwa łacińska *Petra (kamień)* określa naturę miasta, którego wszystkie domy, świątynie i pomniki są tylko odłamami skał ociosanych lub poprzedzielanych ręką ludzką.

Słowem jest to *miasto kamienne*, i może to właśnie pokusiło Rzymian do opanowania go, gdyż jak wiadomo, w objawach swéj potęgi, często więcéj się uganiali za nadzwyczajnością, niż za pięknem. Silni wytrwałością i wolą, postanowili całe miasto wykuć w łonie skały, i pokonali materję, przezwyciężyli trudności, zwalczyli żywioły i doszli do zamierzonego celu nie wiele troszcząc się o dobry smak i sztukę, którą na drugi plan odsunęli.

W tym jednak razie nie sama tylko chęć odznaczenia się nadzwyczajnością, kierowała postępowaniem tego ludu inżynierów, nie dla prostéj fantazyi przebyli niezmierzone piaski i pustynie, ale ocenili od razu strategiczną ważność miejscowości, dostatecznie usprawiedliwiającéj poniesione koszta i trudy. Petra była dla nich ważnym punktem, łączącym krańce Arabii, Egiptu i Indyi.

Rzecz prosta, że wówczas, gdy Rzymianie pragnęli zagarnąć pod swą władzę cały świat z przyległościami, potrzebowali posiadać w téj odległéj okolicy punkt połączenia, między posiadłościami swemi na dalekim Wschodzie, a prowincją Egiptu. Chcąc zrozumieć ważne stanowisko, jakie Petra zajmowała w ich planach, i pojąć znaczenie tych dziwacznych ruin, które równie jak miejscowość, gdzie stał Babilon i Niniwa, nie dadzą się wytłomaczyć geografją ludów tegoczesnych, trzeba odnieść się myślą do epoki ich podbojów w Azyi. Czas uszanował te olbrzymie szczątki potężnych państw i ludów, aby historja mogła lepiej czytać w przeszłości i abyśmy dotykalnie poznali potęgę starożytnych, którą nasza niby to wielka cywilizacja, tak niewłaściwie nieraz lekceważy.

Jakiż naród zdobyłby się dziś na utworzenie miast tak wielkich i ważnych, jak była Petra w swoim czasie, przedstawiająca na Wschodzie, jakby Rzym w miniaturze, posiadająca swoje teatra, świątynie, forum i niespożyte pomniki i grobowce.

Petra, kryjąca się wśród niezmierzonéj pustyni, długo bardzo w zupełnem pogrążona była zapomnieniu, i nazwa jéj zaledwie rzadko bardzo pojawiała się w historyi świata. P. de Laborde starannie badał jéj przeszłość, i zebrał najdokładniejsze odnoszące się do niéj szczegóły. Według nich Petra istniała już przed panowaniem w niej Rzymian i była stolicą małego królestwa, tylko nie posiadała wspaniałych gmachów i pomników, których zgliszcza dziś jeszcze budzą podziw i uwielbienie.

Mojżesz najpierwszy wspomina o téj miejscowości. W rozdziale XIV Księgi Rodzaju mówi o mieszkańcach gór *Seir* jako *o Horytach mieszkańcach grot*. Miejscowość i natura *grot* zajętych przez Horytów—a następnie przez *Edomitów* są wyraźnie wskazane w Deuteronomie i w księgach Jeremiasza. Prorok ten wspomina o nich kilkakrotnie, jak najdokładniéj opisując wzgórza na których dziś wznosi się amfiteatr Petra. W księgach królewskich, miasto *Sela*, stolica Edomitów, odpowiada zupełnie topograficznemu położeniu Petry.

Grecy i Rzymianie dopiero w trzysta lat po Chrystusie, wspominają o Petrze, témże mianując ją mianem; Diodor mówi o niéj jako o stolicy królestwa Nabateeńczyków, którzy wypędzili Edomitów. Podbój ten musiał mieć miejsce w czwartem lub piątem stuleciu naszéj ery. Strabon uważa Petrę za nader ważny punkt połączenia Babilonu z Egiptem, a Artemidores, (sto lat przed Chrystusem podaje bardzo dokładny opis kraju i bogactw miasta, które mu daje nazwę, jaką po dziś dzień zachowało

Pierwszą wyprawę do Petry przedsięwzięli Rzymianie za panowania Aretasa, króla Nabateeńczyków, lecz władca ten upokorzeniem się zażegnał burzę, i dopiero nieco później Eciusz Galluz, podczas wyprawy do Arabii zdobył Petrę, która odtąd przeszła pod panowanie Rzymian i niezadługo stała się bogatą koloniją. Nareszcie roku 105 naszéj ery, za panowania Trajana, królestwo nabateeńskie zostało urzędownie przyłączone do cesarstwa rzymskiego, i odtąd Petra dzieliła wszystkie jego losy. Prosty numer w katalogu posiadłości potężnych Rzymian, Petra wraz z ich upadkiem schodzi z widowni świata i ginie w mgle zapomnienia.

Wprawdzie podczas wojen krzyżowych, niektórzy pisarze napomykali coś o *Wadi-Musa*, ale rzeczywiście dopiero uczony Burckhardt w roku 1812 odkrył, że tak powiem na nowo ruiny Petry, od wieków zagrzebane w niepamięci.

Pan de Laborde podaje najdokładniejsze szczegóły odnośnie do historyi i archeologji Petry, tłómaczy znaczenie ruin i pomników, budzących po dziś dzień podziw i uwielbienie; my w szczuplejszych zamykając się granicach, przytoczymy tylko niektóre, nie tyle może czystością architektury, jak szczególnością swoją zwracające naszą uwagę.

W ogólności wszystkie budowle, ozdoby, rzeźby i upiększenia, noszą tu na sobie piętno sztuki rzymskiej, czysto dekoracyjnéj, i nadzwyczaj przypominają gmachy i malowanie ścian, napotykanych w odkopanych ruinach Pompei. Wiele byłoby do powiedzenia przeciw czystości architektury i poprawności ozdób, niemniéj jednak pomniki te budzą podziw ogromem swych kolosalnych rozmiarów, przywodząc na myśl, jak niesłychanych trudów wymagało ich zniesienie.

Chcąc oznaczyć styl gmachów i pomników Petry, trzeba utworzyć nową nazwę *greckiego odrodzenia.*

Wyjechaliśmy w piękny szeroki wąwóz, środkiem, którego szemrał przezroczy strumień ocieniony oleandrami, i które tu dochodzą wielkości wspaniałych drzew. Tu drogman polecił nam, abyśmy ścieśnili szeregi i rachowali się co chwila, gdyż niekoniecznie łagodny charakter mieszkańców, jak największą nakazywał ostrożność.

I tym razem krajowcy byli zawiadomieni o naszem przybyciu, i tuż pod miastem spotkaliśmy dwóch oczekujących na nas Beduinów. Uzbrojeni w długie fuzye, pistolety i ogromne noże, nie budzili wielkiego zaufania, i dla tego bardzo zimno przyjęliśmy ich powitanie. Rozpoczęli rozmowę, namawiając nas, abyśmy kupili od nich kilka najpospolitszych szarych kuropatw, podziękowaliśmy bardzo grzecznie mówiąc, że już ich mamy bardzo wiele,

Pod samem miastem wąwóz w górze tak się zwężał, że musieliśmy zsiąść z dromaderów, aby nie rozbić głowy o skały pietrzące się po nad nami na setki metrów wysokości. Boki góry tak się ścieśniają w tem miejscu, iż światło dzienne przedziera się tylko przez szczeliny; ten pół-cień potęguje jeszcze szczególniejsze wrażenie, ogarniające każdego kto zwłaszcza pierwszy raz przebywa tę długą grotę.

Fantastyczny ten wąwóz, więcej przypominający piekło Danta, niż potęgę rzymską, nazywa się *Es-Sik*; mocno czerwone zabarwienie góry uzupełnia złudzenie, iż znajdujemy się w piekielnej otchłani. Orfeusz mógłby śmiało zająć miejsce w tym strasznym, płomiennym korytarzu.

Wchodząc w ten bajeczny korytarz, postrzegliśmy łukowatą arkadę śmiało rzuconą po nad przejściem. Widać wzniesiono ją tylko dla ozdoby, gdyż po bliższem rozpatrzeniu przekonaliśmy się, że nie mogła służyć za most i łączyła tylko z sobą same niedostępne skały. W tej arkadzie jest wyrobionych dwanaście nisz, zapewnie dawniej zdobnych w figurki, które islamizm, nie dopuszczający odtwarzań postaci ludzkich, z religijną gorliwością przeznaczył na zatratę. Temuż losowi uległy wszystkie figury zdobiące inne pomniki miasta.

Powiadają; że jakiś Anglik opłacił bardzo drogo chętkę przejścia po tej arkadzie; to przejście jego spowodowało tak silne wstrząśnienie całego pomnika, iż przerażony, w żaden sposób nie chciał wracać tąż samą drogą; hojnie wynagrodzeni Beduini, zebrali wszelki sznury i postronki jakie tylko były w posiadaniu całego plemienia, i z ich pomocą spuścił się z wysokości, która pod względem perspektywy przedstawiała mu jedną tylko—perspektywę głodowej śmierci.

Co krok napotykaliśmy tu ślady budowli rzymskich, a między innemi szczątki wodociągu wykutego w skale, który odprowadzając wody *Ain-Musy* do środka miasta, dozwalał suchą nogą przebyć cały wąwóz. Dziś gdy z wodociągu ruiny tylko pozostały, większą część osobliwszego tego przejścia trzeba brodzić po wodzie, nie dość na tem, grunt zasypany jest okrągłemi ślizgiemi kamykami, które nadzwyczaj utrudniają przejście. Krajowcy mogliby z łatwością usunąć tę niedogodność, lecz przeciwnie są z niej bardzo zadowoleni, gdyż łatwo mogą straszyć podróżnych, żeby bez zezwolenia krajowców i dobrych przewodników nie zapuszczali się w tę stronę.

Już z pół godziny postępowaliśmy tą osobliwszą drogą, gdy nagle nadspodziewany widok ukazał się naszym zdziwionym oczom: tuż przed nami wznosiła się wspaniała świątynia, oświetlona odbłyskiem czerwonego światła. Jest to bez zaprzeczenia najwspanialszy z pomników, jakie się zachowały w Petra. Świątynia ta nosi nazwę *Khaznéh—Fir oun*, Skarb Faraona, chociaż architektura koryncka nie dozwala wątpić o jej pochodzeniu. Ale weszło już w zwyczaj na Wschodzie, że każdy wspanialszy gmach jest niemylnie przypisywany jakiemuś Faraonowi Egiptu.

Cały gmach jest wykuty w jednej czerwonej skale i przedstawia świątynię z dwu-piętrową posadą, po nad którą wznosi się pawilon zdobny kolumnami. W środku, pomiędzy ornamentacyą, stoi wielka, massiw zbudowana urna; Arabowie są przekonani, że w niej spoczywa skarb zaklęty. Liczne ślady kul dowodzą jak wielokrotnie usiłowali strącić ze szczytu biedną niewinną urnę, która mimo tych pokuszeń stoi niewzruszenie, a dostanie się na front wymagałoby rusztowań, których urządzenie przechodzi ich środki...

Sądząc z fasady, trzeba wnosić że po za nią kryje się wielka świątynia, ale najzupełniejszy zawód spotyka wędrowca. Okazałe drzwi prowadzą do małéj czworokątnéj przestrzeni, któréj ściany przyozdobione są niszami. Wydrążenie to jest za małe na świątynię, a za wielkie na grobowiec; może to jakaś budowla niedokończona. Przypuszczenie to usprawiedliwiają liczne, zaledwie zarysowane rzeźby i ozdoby.

Pan de Laborde wspomina o napisie greckim, umieszczonym na frontonie grobowca, wznoszącego się w pobliżu wielkiego teatru, udaliśmy się tam aby go obejrzeć, ale jest w połowie zatarty. Przyszła nam chętka odnowić go po naszemu, ale ulękliśmy się tak zbrodniczego czynu, poprzestając na wypisywaniu na gładkich kamieniach hieroglifów naszego pomysłu, nad któremi nie jeden Champoljon przyszłości dobrze nałamie sobie głowę.

Podczas naszego pobytu w Petra, przez dwa dni lał deszcz tak ulewny, iż niepodobna było zwiedzać osobliwości miasta; nie chcąc marnować czasu układaliśmy napisy gallo greckie, bardzo wyraziste dla oka i nauki.... amatorów rebusów illustrowanych, które potem malowaliśmy na grobowcach. W cztery miesiące później, przybywszy do Damaszku, znajdowałem się w towarzystwie uczonych podróżników, którzy właśnie wracali z Petra, i bardzo byli zgorszeni różnemi malowaniami, któremi w chwilach dobrego humoru ja, i kilku z młodszych towarzyszy, upamiętniliśmy nasze przejście. Podzieliłem głośno ich oburzenie, nie przyznając się do wspólnictwa w tem jak się wyrażali, świętokradztwie. Niepodobała nam się architektura niektórych pomników, i objawialiśmy nasze zdanie w stylu najrealistyczniejszym, jakiem kiedykolwiek posługiwała hieroglifomanja.

Ż resztą mieliśmy bardzo dobre zamiary. I tak chcąc ułatwić przyszłym podróżnym zwiedzanie tych miejsc ciekawych, pomalowaliśmy ręce ze strzałami wskazującemi. Place, skąd drogi w różnych rozchodziły się kierunkach, podzieliliśmy na sekcje i kwartały, wypisując czerwoną farbą nadane nazwy i rysując po nad niemi profile najznakomitszych miejscowych szkiców. Wszystko to widniało jaskrawo z oddali, a co to były za nazwy!....

Od świątyni Skarbu-Faraona, wąwóz rozdziela się na dwie drogi, znacznie już szersze; ta w którą zwróciliśmy się była całkiem prawie zarosła olbrzymiemi oleandrami, nadającemi jej postać kwitnącego lasku. Nagle znaleźliśmy się przed teatrem całkiem wykutym w skale jak inne pomniki; sama orkiestra obejmuje 35 metrów średnicy i dziś jeszcze można rozróżnić 33 rzędy podwyższeń, stanowiących amfiteatr dla widzów.

Tu znajduje się najwięcéj grot pogrobowych wykutych w skale; rozmiar tych wydrążeń i ich umieszczenie jedne nad drugiemi, kazały wnosić wielu uczonym, że te sympatycznie pourządzane utwory, stanowiły loże teatru przeznaczone dla najznakomitszych widzów, ale istnienie takichże samych grot w innych częściach miasta, obala to przypuszczenie. Zdaje się, że są to po prostu okna od pomieszkań istniejących tu przed wzniesieniem wielkich budowli, jakie teraz otaczają.

Nieco opodal, w dolinie, leży Farum, środkowy punkt miasta rzymskiego, w którym najwięcéj znajduje się pomników. Tu zazwyczaj drogmani urządzają obozowiska, tu w błocie i wilgoci rozpięto nasze namioty, w których wytrzymaliśmy oblężenie ludności, tłoczącej się ze wszech stron, aby nas zobaczyć a szczególniéj żyć naszym kosztem. Jakoż niezadługo mieliśmy powtórzenie orgii Akabahejskiéj i dostojnego obżarstwa potężnego i wielkiego Mohamed-Gadda.

Wcześnie zawiadomieni, szeikowie okoliczni nie tracili czasu i napadli na nas, jak stado kruków, za nim jeszcze zdołaliśmy się rozpakować i ustawić namioty.

Najwięcéj ucierpiał mistrz nasz Gérome, który jako przywódzca całéj karawany był głównym przedmiotem hołdów i uścisków tych ichmościów, brudniejszych jeden od drugiego.

W téj kolekcji podejrzanych figur, rozpoznaliśmy fizjognomje, których właściciele już w Akabah tuczyli się naszym kosztem. Wiedząc już gdzie kuchnia bardzo prędko trafili do niéj i żarłocznie rzucili się na nasze zapasy.

Chcąc nas wypróbować i przestraszyć urządzili *fac-simile* bitwy, wszczętéj niby to z powodu beczki wody, którą drogman polecił im dostawić dla nas. Właściciel beczki żądał dziesięciu franków, takiejże sumy domagał się i ten który przyniósł wodę; wyciągnęli szable z pochew, zaczęli nabijać pistolety i wydawać przeraźliwe krzyki, rozlegające się po całem mieście. Ufni w nasze dubeltówki i rewolwery, patrzyliśmy na tę udaną walkę ze stoicką obojętnością, i korzystając z nauk szeika w Akabah, *nie wierzyliśmy że to miało miejsce*, co widząc szalbierze zaprzestali bezowocnych trudów. Nie dość na tem, przez kilka dni zostawili nas w spokoju, co dozwoliło nam zająć się zdejmowaniem widoków główniejszych miejscowości.

Na lewo, w kierunku *Ain-Musa*, wznosi się samotnie gmach większych daleko rozmiarów, z ornamentacjami odznaczającemi się wykwintniejszym smakiem; jest to Kasz *Fir' oun*, pałac Faraona-(swoim zwyczajem) chociaż budowa jego nosi na sobie wybitniejsze daleko niż inne pomniki, cechy architektury rzymskiéj. Mury mają $2\frac{1}{3}$ metra grubości, to tłomaczy ich trwałość; fryzy jego są przyozdobione heroglifami i rozetami, co na daje pałacowi charakter zarazem prostoty i wspaniałości. Wewnątrz widać jeszcze belki dowodzące, że gmach podzielony był na kilka pięter.

Legendy krajowe podają, że Rzymianie przechowali tu ogromne skarby, i Arabowie o niczem nie marzą, jak tylko o sposobie wydobycia ich na światło dzienne,—ale, niestety! wszelkie próby i pokuszenia żadnego dotąd nie odniosły skutku.

Z kolei zwiedziliśmy niezliczoną liczbę grobowców i świątyń, sterczących w gruzach lub niedokończonych, wszystkie są wykute w skałach i osłonione

prawdziwym lasem pnączów i oleandrów, tak że bez pomocy doświadczonych przewodników niepodobnaby ich odszukać.

Ta kolekcja grot i pieczar byłaby nieocenionym nabytkiem dla herszta złodziej; kartusz nie wymarzyłby lepszego ukrycia dla swéj bandy.

Po zwiedzeniu téj niezliczonéj liczby grobowców, przedstawiających doskonałą mięszaninę wszystkich stylów architektonicznych, odbyliśmy naradę z Arabami o sposobie dostania się do jednego z najznaczniejszych zabytków starożytnych, do którego nie podobna dojść bez wielkiego znużenia. Chcieliśmy zwiedzić klasztor *El Deir* który następnie przezwaliśmy *Saint-Sulpice*. Uderzającem jest podobieństwo tych dwóch gmachów, leżących na przeciwnych krańcach świata, jeden w Petra, drugi w Paryżu.

Kolumny doryckie podtrzymują fronton po nad którym wznosi się ogromna galerja, tak samo jak w kościele Ś. Sulpicyusza, ale drugie piętro i nowy fronton śmiesznie przeciążają fasadę, która nawet olbrzymim swoim rozmiarem nie wynagradza złego smaku.

Ponieważ dziś nie ma tu odźwiernego strzegącego wejścia, wpadliśmy do wnętrza z hałasem, bajeczne wyprawiając skoki. Śniadaliśmy w przedsionku świątyni, płosząc krzykiem naszym sowy i niedoperze, jedynych mieszkańców tego przybytku.

W téj powietrznéj podróży zwróciły naszą uwagę schody wykute w skale i rozchodzące się we wszystkich kierunkach; po dziś dzień dość dobrze się zachowały. Ogromne zielone i niebieskie jaszczurki wygrzewały się na słońcu, zobaczywszy nas uciekały gdzie mogły. W wielu miejscach kępy oleandrów zagradzały zupełnie przejście, tak że musieliśmy przesuwać się pod niemi na czworakach, maszerując tak nieraz przez kilka minut.

Jeden z poważniejszych towarzyszy przyłączył się do nas młodych, chcąc uczestniczyć w wycieczce do *El-Deir*, lecz siły mu nie dopisały i musiał zostać w połowie drogi; wracając z góry mieliśmy go zabrać. Jakież było przerażenie nasze, gdyśmy go niezastali w oznaczonem miejscu; w około było wiele niezgruntowanych przepaści, lękaliśmy się więc czy nie wpadł w ich otchłanie, lub niezabłąkał się w labiryncie zaułków między skałami. Nawoływania, wystrzały, żadnego nie odniosły skutku, nareszcie zrozpaczeni powróciliśmy do obozowiska.

Oto jak się rzecz miała. Zasnął spokojnie w miejscu gdzie miał na nas czekać, gdy nagle przebudził go jakiś szelest; obejrzał się i ujrzał tuż obok siebie jakiegoś od stóp do głów uzbrojonego ichmościa, którego mina nie koniecznie przychylne zdradzała zamiary. Chwycił za rewolwer, co zobaczywszy niemiły sąsiad odstąpił kilka kroków, a towarzysz nasz odbył odwrót w porządku, cofając się w tył, a to niełatwem było zadaniem, gdyż co chwila mógł wpaść w przepaść lub choćby tylko upaść, co wydałoby go na łup czychającego nań rabusia. Szczęściem bez przypadku powrócił do swoich, a my nauczeni jego przykładem, nie przedsiębraliśmy odtąd żadnych samotnych wycieczek.

Na południowéj stronie miasta, w pośród niezliczonych ruin, sterczy samotnie wielka kolumna, stanowiąca jeden z najciekawszych zabytków. Jak się to często dzieje na świecie „że nie zasłużony ale szczęśliwy" tak i tu znowu dziwna nazwa kolumny przypisuje ją *jakiemuś Faraonowi, Zubb-Fir'-onu.* Włócznia Faraona, wystrzeliła wysoko jakby grożąc niebu, na większą chwałę Faraona, chrzestnego swego ojca.

Pobyt w Petra uprzykrzył nam się już i zaczęliśmy myśleć o odjeździe. Stosunki nasze z szeikiem miejscowym nie były zbyt przyjazne, a natarczywość jego i licznych jego krewnych i przyjaciół, od trzech dni szczególniéj i nam i kucharzowi naszemu bardzo dała się we znaki. Wypiwszy i zjadłszy co tylko mogli pochwycić, dostojni ci złodzieje rozkładali się tuż pod naszemi namiotami, tak iż mało nie łamali podtrzymujących je kołów, i za każdem poruszeniem bujały sznur któremi były przymocowane.

Wyprzedzaliśmy się w pomysłach jakimby sposobem pozbyć się tych niemiłych sąsiadów, aż nareszcie jednemu z nas przyszła myśl uciec się do podstępu, któregoby sam Ulisses pozazdrościł.

Dziwna rzecz, że nędznicy ci nic sobie ze wszystkiego i z nikogo nie robiący, mają silnie bardzo rozwinięte poczucie wstydliwości; jeden z naszych towarzyszy przypadkiem dowiedział się o tem i postanowił wyzyskiwać ten szacowny przymiot. Wyszedł z namiotu w kostiumie Adama, z dodatkiem jednych tylko pantofli, i zaczął poważnie przechadzać się koło namiotów, co widząc rabusie uciekali jak mogli najprędzéj, zasłaniając sobie twarz rękami.

Schodzili się co wieczór na gawędkę w około naszych namiotów, rozprawiając bardzo głośno do późnéj nocy, a że w sąsiednim Forum echo odbijało się bardzo głośno i przeciągle, więc nieraz prawie do rana nie mogliśmy zmrużyć oka.

Pewnego dnia gdy miła ich konferencya więcéj niż kiedy dała nam się we znaki, zawołałem z łóżka na jednego znanego nam ze swego krzykliwego głosu, aby się natychmiast uspokoili, dodając do tego rozkazu kilka bardzo dobitnych przymiotników francuzkich, jaskrawo malujących myśl moją. Zawezwany z niewymownem naszem zdziwieniem powtórzył najwyraźniéj trzy ostatnie przymiotniki. To, jakby echo tak wyraźne, podało mi myśl wymówienia innych równie dosadnych wyrazów, a nasze żyjące echo powtórzyło je bez namysłu. Wtedy dla zabawy towarzyszy, mówiłem zwolna.

— Ja jestem—łotr,—wierutny—infamis.... —złodziéj....—zamordowałem....—własnego....—ojca....—udusiłem....—moją....—matkę....— powiesiłem..... —rodzonego..... — wuja.... — i. t. d... i. t. d.. wymyślając najokropniejsze okropności, na które sam Edyp zadrżałby przerażeniem.

I ta ludzka papuga z niezrównaną dokładnością powtarzała każdą syllabę, na wielką naszą uciechę, że zaś robił to później i dla własnéj zabawki, uznano go warjatem, litowano się i uciekano jak od zapowietrzonego,—a nas bano się jak czarodziejów, umiejących ludziom rozum odbierać.

Jeśli pamięć mego ucznia dorównywała łatwości wymawiania, to wystawiam sobie zdziwienie podróżnych, gdy który posłyszy z ust jego słowa szwargotu, nie figurujące w żadnym dykcjonarzu.

Rozpatrując się w tych ludziach, którzy wnosząc z życia publicznego i w prywatnem nie musieli odznaczać się powabem ani wdziękiem, ciekawy byłem nadzwyczajnie poznać ich towarzyszki; szczęśliwy traf spełnił moje pragnienie.

Pewnego poranku, siedziałem nad brzegiem *Aiw Musy*, w cieniu przepysznie kwitnących drzew oleandrowych, zajęty oczyszczaniem palety i pendzli, gdy nagle posłyszałem za sobą szmer poruszających się gałęzi. Odwróciłem głowę. Długo nie widziałem nic prócz dzbanka,—ale wiadomo że na Wschodzie pojawienie się jego zwiastuje zawsze obecność kobiety. Z téj wychodząc zasady rozpocząłem poszukiwania.

Najpierw zobaczyłem maleńką tłuściutką rączkę, ze starannie pomalowanemi paznokciami, ten nieznośny zwyczaj odejmuje kobietom arabskim znaczną część ich przyrodzonych wdzięków. Ta rączka, taka maleńka i pulchna, pociągała mnie ku sobie, posuwałem się ostrożnie aby zobaczyć jej właścicielkę, aż nagle odskoczyłem zdjęty przerażeniem i zgrozą..... ujrzałem bowiem potwór wszelkie przechodzący pojęcie.

Twarz téj nieokreślonéj istoty pokryta była maską ze skóry zwierzęcéj, w któréj tylko małe otwory na oczy były wyrznięte; nieco niżéj, na swéj powierzchni namalowane były jaskrawo potworne usta, wykrzywione strasznie, wstrętnie. Dla uwieńczenia téj odrażającéj szkarady, miała na głowie jakby perukę uplecioną z końskiego włosia; nad czołem wznosił się ogromny róg, a po bokach spadały ogromne pęki kosmyków.

Najbujniejsza wyobraźnia nie zdoła wystawić sobie nic równie wstrętnego, a jednak była to kobieta i wnosząc z małych kształtnych rączek, może nawet młoda i ładna... nie miałem jednak odwagi przekonywać się o tem, i uciekłem jak oparzony.

Psie uszy, róg jednorożca, skórzana maska strasznie pomazana, oto przybory stanowiące niby ozdobę kobiecego stroju, obmyślane wyraźnie w celu przerażenia i odstręczania podróżnych, niby manekiny stawiane przy wiśniach dla odpędzenia wróbli.

(d. c. n.)

OBRAZY NA WYSTAWIE

TOWARZYSTWA

ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

w Warszawie.

Przegląd dzisiejszy rozpoczynamy od pracy pana Matejki, w której artysta jakkolwiek należący do najznakomitszych, starał się niejako wyróżnić od drugich ułożeniem szczegółów, jak najniekórzystniejszem.

Jest to portret młodej kobiety, być nawet może że bardzo podobny, ale w wykonaniu na pierwszy rzut oka, tak staro wyglądającéj, że trzeba dobrze się wpatrzyć, aby młodość tę ujrzeć, aby przekonać się, że to nie osoba wchodząca już w poważne grono matron, ale młodziutka mężatka podobno dwadzieścia dwa lat wieku licząca. Do tej tak niekorzystnej uludy, najwięcéj przyczyniają się ręce i tło całego obrazu. Ręce chude, palce długie obleczone skórą żółtą pogiętą, pomarszczoną, jakby rękawiczka źle przystająca, zupełnie nie harmonizują z urokiem młodości i wdziękiem urody z twarzy promieniejącym.

Ręce te to najzupełniejsza starość, do tego zgrzybiała drżąca i chyląca się a nawet schylona u kresu swego żywota: na tle zaś pomieścił artysta jakiś stary wybladły gobelin, na którem ze swietności barw tylko ślady pozostały. Wprawdzie widać na nim jakby starożytne ściany rycerskiej komnaty, niby zbrojnych zakutych w stal i przyłbice, ale wszystko to takie zniszczone, wytarte, wypłowiałe, że nawet nie podobna się domyśleć, co artystę mogło skłonić do wydobycia przedmiotu tego niegdyś drogocennego, z archiwum pamiątek dla moli przeznaczonych, na tło dla wdzięku i młodości. Zdarzają się na świecie różne grymasy i grymaski, w pracy p. Matejki widocznie grymas wziął przewagę i to wielkiego kalibru. Mimo tego jest to praca znakomita, prawdziwie mistrzowska. Twarz, okrycie czarne aksamitne, koronki białe wyglądające z pod rękawów, wyłogi sobolowe, wszystko to wykonane z tak drobiazgową starannością, tak sztucznie i kunsztownie wymodelowane, że nie można dość uwielbić i staranności i talentu artysty. Od mistrzów jednak pędzla łączących genjalność pomysłów z genjalnością wykonania, pokazuje się iż nie jest zawsze bezpiecznie domagać się portretu. Fantazya ich rozdrażniona przymuszoną

pracą, przybierając fałszywy kierunek, zapomina o podniesieniu piękna tak licznemi środkami tuż pod ręką znajdującemi się, a nawet przeciwnie zdaje się szukać zadowolenia, w przytłumieniu jego, a wydobyciu tego co mniej jawnem być powinno. Inaczej pracy pana Matejki wytłomaczyć nie można, i widocznie tło tak niekorzystne rozmyślnie użyte zostało a ręce oszpecone.

Pana Kostrzewskiego obrazek niewielki, przedstawiający Dzieci wiejskie, po słowach prawdy wypowiedzianych w ostatniem naszem sprawozdaniu, oglądać można z wielką przyjemnością, i z tem wewnętrznem zadowoleniem, do jakiego artysta już nas przyzwyczaił. Pod ścianą stodoły czy obory, stoi chłopczyna w koszulinie, i dmię w fujarkę zapewne wydobywając taneczną nutę z instrumentu na prędce ukleconego. Obok niego stoi dzieweczka już starsza, a z pomiędzy nich wychyla się głowa, siedzącej na ziemi trzeciej dzieciny.

Przed niemi chłopczyna dwunastoletni ubrany z mazurska w kapotę świąteczną, w butach i kapeluszu na głowie, z dziewczynką równą mu wiekiem i choć bosą, ale starannie przyozdobioną a nawet kwiatkami przyozdobioną, wycina oberka z całym zapałem młodego wieku, w którym taniec to świat cały, choćby muzyce trzeba było dopomagać, to silnem stuknięciem obcasa, to przyśpiewką w duszy nuconą. Obok nich niedaleko mała dziecina zaledwie chodzić umiejąca, rozigrana ochotą tańczących, zapragnęła także należyć do wspólnej uciechy, bo oto starsza jej opiekunka nachylona trzyma ją za rączki i stara się nadać stosowne obroty, którym dziecina poddaje się z największą uległością. Zdala przy płocie widnieje postać starca, z długą siwą brodą, zapatrzona w młode pokolenie do jakiego i on niegdyś należał. Z powagą, w ciszy swego ducha, z pewnym nawet smętkiem, zda się szperać w pamiątkach lat przebytych, i wyszukiwać wspomnienia podobnego do obrazku jakiemu się z zajęciem przypatruje.

W pracy tej niezmiernie wiele życia: mały grajek z wydętą buzią, choć wydobywa z fujarki niesforne zapewne tony, może mało nawet zgodne ze swem przeznaczeniem, na nic jednak nie zważa, gra zawzięcie nie dla tego że tańczą, ale że się cieszy muzyką, której sam jest twórcą.

Dwie jego towarzyszki, zaciekawione, zapatrzone wybornie harmonizują z tym zapałem małego wirtuoza, w którym kto wie czy już geniusz nie wydziera się do życia. Taneczna para to uosobiona radość: uśmiech igra na obu twarzyczkach, chłopiec go troszkę przytaja, dziewczynka osłania wstydem niewinności, tańczą jednak zawzięcie, ciesząc się zabawką, tak dla nich ponętną, a tak trudną do urzeczywistnienia w zebraniach starszych w karczmie lub na weselu.

Ruchy wreszcie małéj dzieciny trzymanéj za rączki i przez starszą dzieweczkę, tak naturalne, tak malownicze, że się pragnie dopomódz im, aby ujrzeć rozweseloną buzię i usłyszeć głos radości ze śmiechem połączony.

Obrazek ten p. Kostrzewskiego należy do najlepszych, a co ważniejsza, że jest wykończony w szczegółach, ze starannością do jakiéj nas zupełnie nie przyzwyczaił.

Dwa widoki p. Marszewskiego: Wilno z góry Bufałowskiéj i Wilno koło zakrętu z widokiem na Panarskie góry, mają w sobie wiele zalet, ale przebijają i niedostatki psujące całą ich wartość. Perspektywa bardzo dobrze zachowana, na pierwszym domu więże starannie oddane w oddaleniach, jakie je dzielą pomiędzy sobą, i dalsza okolica ginąca aż na horyzoncie, malowniczo rozpościera się z urokiem wybornie schwyconym, jaki zwykle tak rozległéj przestrzeni towarzyszy, ale w tem co stoi na pierwszym planie, artysta i z rysunkiem i z kolorytem nie umiał jakoś dać sobie rady. Murawa tu nieprawdziwa, koza za wielka, a szychta drzewa w stosunku do niéj, z okrąglaków złożona, za mała i za nadto pobieżnie odrobiona. Te same niedostatki i w drugim znajdują się widoku, usunięcie ich niezmiernie korzystnie wpłynęłoby na wartość całéj pracy. Radzimy p. Marszewskiemu więcéj dawać baczenia na plan główny, najprzód wpadający w oczy patrzącego, bo talent jego godnym jest tego aby mu nie szkodzić pobieżnością i lekceważeniem.

Obrazek p. t. Stajnia p. Ksawerego Pillatego, ma prawdę i życie wielce zalecające zawsze wszystkie prace tego utalentowanego artysty. W głębi stoją konie a przed niemi znajduje się grupa, z trzech ludzi złożona. Jeden furman widać niemiec, siedzi pod ścianą zagrody stajennéj, i z tryumfującą miną, ukrywającą starannie śmiech szyderczy, trzyma kartę asa w górę podniesioną, na którą z prostodusznością pogląda włościanin polski, dziwiąc się że przegrał gdy był pewnym wygranéj. Trzeci świadek téj sceny dla włościanina kieszeni dość niekorzystnéj, leży na słomie w pobliżu i z obojetnością patrzy i na tryumf niemca i na kłopot swego ziomka.

Przypatrując się tej pracy, w pierwszéj chwili żałowaliśmy, że artysta owego trzeciego świadka nie zrobił śmiejącym się na całe gardło, i ze śmiechu biorącym się za boki, ale po bliższem zastanowieniu wykryliśmy w tem myśl głębszą, mieszczącą w sobie gorzką satyrę. Gdy nas bowiem cudzoziemiec pokonywa zręcznością lub umiejętnością, z ofiary nie śmiejemy się, mamy nawet dla niéj współczucie, ale na tem wszystko się kończy. Pokonany dziwi się jak mógł uledz, a my patrzymy na niego i czekamy aż i z nami podobna odbędzie się operacya. Układ obu głównych postaci, spryt w twarzy niemca, naiwność podziwu u włościanina oddane z prawdziwym talentem: szczegóły obrobione starannie, a nie brak ich jako w stajni, do któréj i kura zajrzyć lubi otoczona gronem swoich piskląt, jak to pomieszczone na obrazku. Szkoda tylko że padający na niego promień słońca przez okno wdzierający się, często przeszkadza do bacznego obejrzenia.

Toast weselny, obraz wykonany przez p. Sypniewskiego, należy do prac większych w których talent artysty zwykle ma obszerniejsze pole do popisu i uwydatnienia. W salonie starożytnym bogato przystrojonym, przy stole siedzi grono osób ucztujących a wszyscy w kontuszach, przy karabelach, prawdziwe karmazyny i rodem i znaczeniem. Jest tam i kilka kobiet, dwóch pachołków usługuje, goście prowadzą ożywioną z sobą rozmowę, a dwóch z gości wznosi kielichy w górę na cześć państwa młodych. W drzwiach bocznych kapela przygrywa, panna młoda zwrócona całą postacią do widza, zawstydzona, pomięszana stara się ukłonem podziękować za zaszczyt jakim ją obdarzano, a oblubieniec młody stojąc za nią, pokręca wąsem i zerga okiem dość znacząco ku swéj ukochanéj. Jakkolwiek całe ugrupowanie osób ucztujących bardzo jest ożywione, ale zbyt junacza postawa pana młodego, ów nieszczęśliwy pokręt wąsa, od czasów spotkania się króla Sobieskiego z cesarzem Leopoldem, nadużyty aż do znudzenia, nie przyczyniają się wcale do podniesienia efektu. Toast weselny, to chrzest na poważne obowiązki obywatela kraju, to chwila rozbratu powagi z płochością młodzieńczego wieku.

Zwykle też państwo młodzi przyjmują go ze czcią i poszanowaniem, z myślą oczekujących ich obowiązkach, a nie o zewnętrznym powabie swego związku. Pan młody chylący ku ziemi głowę, cisnący rączkę ukochanej do ust lub piersi: byłby milszym, ponętniejszym, bo prawdziwym co stanowi pierwszy warunek każdéj kompozycyi. W każdym razie praca to godna uznania, z prawdziwym talentem sumiennie, pracowicie wykonana i zdaje nam się, że wyższéj nierównie wartości od poprzednich tego artysty.

Różne wiadomości.

W St. Peterb: piszą. *Operacja bezpłatnéj wysyłki książek dla szkół najbardziéj potrzebujących*, nie przestaje rozwijać się na taką skalę, że być może w cyfrze ogólnéj na rok dojdzie do 80 tysięcy tomów. Zakres stosunków szybko się rozszerza, przyczem szkoły, które prosiły o wysyłkę książek lat zeszłych, nie przestają ich żądać i teraz; różnica tylko w tem, że wprzód prosiły o elementarze i wzory kaligraficzne, a obecnie proszą o mniej lub więcej drogie książki dla czytania i przewodniki naukowe, zkąd można wnosić, że elemantarze komitetu rzeczywiście spełniły swe przeznaczenie, nauczywszy czytać nie jeden tysiąc uczniów. Na następnem publicznem posiedzeniu komitetu zamierzonem jest stawienie pod rozbiór dwóch ważnych kwestji: o urządzeniu czytelni „ludowej" w Petersburgu i o pośrednictwie komitetu piśmienności przy stosunkach ziemstw z księgarniami i wydawcami.

— W Sudan (w gub. czernichowskiej) pewien *włościanin wykopał* w pobliskiem ku rzece Iputi wądole na głębokości około 5 sążni, *ząb mamuta*, bardzo dobrze zachowany, mający długości 2 arszyny 4 werszki, a średnicy przeszło 2 werszki; ważący 35 funtów. Włościanin ten powiada, że przed czterema laty znalazł w tejże miejscowości kawałek żebra mamuta, grubości około 8 werszków.

KORESPONDENCJA.

Panu Antoniemu S. Ciała niebieskie czyli światy planetarne przez Mitchella kosztują rs. 2.—L' Echo de la Sorbonne wychodzi czwarty rok, każdy rok kosztuje rs. 9.

Pani Eleonorze Ko: adres Redakcji o którą się zapytywano; ulica Marszałkowska N. 77 nowy.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

MADONNA D'IMBEVERA

POWIEŚĆ Z XVI STULECIA

CEZARA CANTU

PRZEŁOŻONA Z WŁOSKIEGO

przez

JANA CHĘCIŃSKIEGO.

Badanie miejscowości i spostrzeżenia historyczne przekonywają, że przed szesnastn lnb ośmnastn wiekami, Piano d'Erba i okoliczne doliny, zalane były jeziorem zwanem Eupilis, które podsycane potokami z gór, łączyło się przez Valmadrera z jeziorem Lecco, Addą i przerzucało się przez rzękę Lambro, po której łatwo poznać,że kiedyś była daleko szerszą i głębszą.

Na obszerniejszych i wznioślejszych wysepkach i półwysepkach Eupilu, pobudowano dworki i szeregi wieśniaczych chat, których mieszkańcy łowili ryby w tych samych miejscach, gdzie dziś ich potomkowie zdobywają chleb pługiem i sierpem.

Kiedy i jakim sposobem to jezioro zniknęło, trudnoby było powiedzieć. Najazdy srogich zaborców, ucisk miejscowych panków, poniżając ludzi, zanadto ich wówczas zajmowały troską obecnej chwili, aby zostawić choć odrobinę swobodnej myśli, do badania przeszłości, zwracania uwagi na wstrząśnienia natury i zapisywania swoich spostrzeżeń, mogących stać się materjałem dla późniejszych badaczy.

Po wyschnięciu jeziora, część wznioślejsza jego łożyska zamieniła się wkrótce w wyborne grunta, których uprawa dała byt i zajęcie sporym osadom zaludniającym dotąd cały ten obszar. Głębsze doliny zanadto były bagniste, aby się zaraz mogły na coś przydać i później dopiero chwile spokoju, troskliwsze rządy, a przedewszystkiem potrzeba, zajęły się osuszaniem bagnisk, uczyniły zdrowszem powietrze i nareszcie zagaiły zbożem resztę łożyska dawnego jeziora.

Jednak przy schyłku XVI stulecia kiedy minione wojny, przewaga uprzywilejowanych osad, bezrozumne rozporządzenia, przerzedzały ludność zmniejszaniem lub utrudnianiem środków utrzymania, większa część owej ziemi znowu leżała odłogiem zarośnięta zielskiem i dzikiemi krzakami, pomiędzy któremi bagniska tu i owdzie na nowo rozsiadły się z całą swobodą. To też droga, która je dziś przerzyna prowadząc od wąwozów góry Brianza na rozkoszne wzgórza di Erba, podobniejsza wtedy do jakiejś ubocznej ścieżki, wiła się nierówno wśród lasu zajmującego północną pochyłość wzgórza, które wznosząc się coraz wydatniej od Rovagnate ku Lambro, oddziela wyżynę Brianza od Piano d'Erba.

Niewielu wtedy podróżnych przebywało tę drogę, bo oprócz daleko rzadszych stosunków pomiędzy osadami, ogólna niedogodność komunikacyi, zwłaszcza w miejscach górzystych, zniechęcała ludzi do podróży. Przeszło nawet w przysłowie, że komu wypadło naprzykład z Como udać się do Medjolanu, nieopuszczał domu, nieuregulowawszy pierwej, jak gdyby przed śmiercią, wszystkich interesów;—przybywszy zaś do połowy tej drogi, każdy wyprawiał do swojej rodziny posłańca z zaspokojeniem, że dzięki Niebu, udało mu się przebyć ją szczęśliwie. Nie możemy upatrywać w tem zbytniej przesady, bo prócz niedogodności dróg, podróżny narażał się na spotkanie z wilkami, a co gorzej, ze zwierzęciem zwanem *człowiek*, nie mniej drapieżnem, jeżeli siły połączonéj z rozumem, nieumiarkuje w nim sprawiedliwość i miłość.

Bandy rozbójników zuchwale obozujących po lasach i wąwozach, nietylko zagrażały samotnemu podróżnikowi, ale nawet napadały i rabowały domostwa i miasteczka. Oberżyści także porozumiewali się z niemi, a podróżny który przy schyłku dnia przyspieszał kroku aby czemprędzej dostać się do oberży, który wszedłszy pod jej dach, dziękował swemu świętemu patronowi, że go przyprowadził zdrowo i cało, ani myślał że w nocnej ciszy zostanie napadniętym, i jak się często zdarzało, zamordowanym w łóżku. Zbiry i wieśniacy od czasu do czasu robili obławę na rabusiów; drobne oddziały wojska czuwały w pewnych odległościach, ale trudno powiedzieć kto był szkodliwszy, stróż czy bandyta, ścigający czy ścigany.

To wszystko jakkolwiek nie ma związku z powieścią którą pragnę zająć czytelników, niechaj będzie maleńkim odemnie dodatkiem do panegiryku owych dobrych, poczciwych dawnych czasów, które dobroduszność tak nieustannie i rzewliwie opłakuje.

Wyraziłem się *„wszystko"*—a jednak niepowiedziałem wszystkiego. Trzebaż jeszcze dodać Feodatarjuszów, z których każdy na swoją rękę w swojem nie rozleglejszem nad mniej więcej milę państewku, uciskał, nakładał na podróżnych samowolny podatek i pod cieniem owej gburowatej siły, która pozyskiwała sobie nazwę prawa, dopuszczał się nadużyć i gwałtów, przewyższając w nich i żółdactwo i rozbójników razem.

Z takich to panków, jeden zajmował właśnie w owych czasach zamek Barzago, położony w pięknej żyznej okolicy na wierzchołku wyżej pomienionego wzgórza oddzielonego wązką drożyną od góry Brianza, ciągnącego się od Rovagnate do Lambra, spoglądając z jednej strony na wyżynę Brianza z drugiej na płaszczyznę d'Erba.

Panek ten nazywał się don Alfonsa Isacchi, ale obchodzeniem się swojem z wieśniakami, pozyskał od nich przydomek Orso di Barzago (*) Gniewliwy, mściwy, obojętny na cierpienia drugich, poszanowania dla ludzkości nie znał nawet z imienia. Prawa porównywał do siatek na które łowią się tylko głupcy, ale które lis albo sokół potrafią obejść, przelecieć i bezpiecznie ruszać sobie dalej. Religją niepogardzał, lecz umiał ją oddzielić od swoich obyczajów, i uczynić z niej zaledwie powierzchowną sukienkę jakiejś niby pokory, chociaż mu w tem djabelnie zawadzała zabobonność; to też jeśli przypadkiem sumienie cofało go lub powstrzymywało na drodze gwałtów, usypiał je pobożnemi praktykami, które umiał godzić z całą rozmaitością swoich wyuzdanych szalonych wybryków.

Kto wszedł do jego zamku, ten ujrzawszy ptaki poprzybijane na drzwiach, zajęcze skóry, wilcze łby poprzytwierdzane do ścian, sokoły, mnóstwo psów gończych, naczynia z lepem na ptastwo, samotrzaski różnych rozmiarów rozstawione po wszystkich kątach, łatwo się domyślał, jak dalece ich właściciel zamiłowany w polowaniu. Ale po gorszych daleko znakach dostrzegali to zamiłowanie wieśniacy, którzy widywali często chmary ptastwa rozmnożonego zgubną bezkarnością, rzucające się na grunta i wyżerające ziarno zaledwie obsianych skib; albo sfory ogarów rozpędzające i zagryzające domowy drób; albo nareszcie potężny orszak myśliwych konnych i pieszych, tratujący bez żadnego względu pola zagajane prosem lub wykłoszonem już zbożem, a później, za powrotem pokazujący w tryumfie pęk pobitych przepiórek lub bekasów biednemu wieśniakowi, który płakał zdziesiątkowanego albo całkiem zniszczonego utrzymania swojéj rodziny, przez nierozważną zabawkę panów. A biada jemu, gdyby się poważył niepokoić swobodnie żerującą zwierzynę! —a stokroć większa biada, gdyby się ośmielił zabić choć jedno z tych żarłocznych stworzeń! Don Alfons umiałby przebaczyć złodziejowi, mordercy, ale nigdy temu, któryby o jedną sztukę zmniejszył jego dziczyznę. Wieśniacy musieli cierpieć, połykać łzy w milczeniu, nie mając nawet nadziei, że ich cierpliwość policzoną będzie na karb jakiejkolwiek zasługi. Oni już chowali się w tem przekonaniu, że ucisk jest koniecznością nieuniknioną jak grad, jak śmierć; że Bóg dając możnym pojęcie przyczyn, które ich skłaniały do pomiatania biednemi, uczynił aż nadto dla tych ostatnich, udzielając im siły i cierpliwości do znoszenia nadużyć.

Obok innych miejsc, zachowywano wyłącznie na wyprawy łowieckie don Alfonsa las, który począwszy od wyżyn Barzago, zajmował całą pochyłość wzgórza i który wówczas, rozciągał się na znacznéj części, dziś uprawianéj już równiny, zwano go i dotąd zowią lasem d' Imbevera.

Wśród gęstéj dębiny, kasztanów i innych drzew, gdzie jakby w ogrodzonym zwierzyńcu mieściła się nieprzeliczona moc ptastwa, zajęcy, sarn, na które i dzisiaj tam jeszcze polują, trafiał się często i grubszy zwierz, z gatunku obecnie w tamtych stronach przerzedzonego, albo zupełnie wytępionego. Las, jakeśmy powiedzieli, przerzynała niewygodna droga, a w miejscu gdzie się krzyżowała z nielepszą od siebie, prowadzącą z Barzago, stała maleńka kapliczka Bożej Matki. Daléj, prócz krzyżów umieszczonych na każdym zakręcie i mnóstwa mniejszych na prędce skleconych krzyżykow, które oznaczając miejsce zamordowania jakiegoś nieszczęśliwego, powiększały obawę i tak już strwożonego wędrowca,— tu i owdzie poprzytwierdzano do drzew obrazy świętych, aby przynajmniej religja stawała się jakim takim hamulcem dla tych, którzy innego nie znali. To też, ktoby pomnąc na owe liczne oznaki pobożności zawołał: *„jakże byli dobrzy nasi ojcowie!"*— radzimy aby powiedział raczéj: *„jakże źli byli"*— albo przynajmniéj: *„jak byli nieszczęśliwi!"*

Zajaśniał piękny poranek 7 września 1590 roku milczenie lasu d' Imbevera przerwał tentent koni, bieganie pieszych, szczekanie ogarów, krzyk sokołów, gwar dojeżdżaczy, uwijanie się myśliwych, którzy śpiesznie gromadzili się około don Alfonsa. On sam, na pysznym rumaku jechał zwolna między jednym z panów a młodą, piękną damą, prowadząc z niemi rozmowę. Wszyscy zaopatrzeni byli sokołami, laseczkami naprowadzonemi lepem, kuszami ręcznemi i innemi przyborami, jakich używano do

1) Niedźwiedź z Barzago.

polowania w owych czasach, kiedy nieudoskonalona jeszcze broń palna, mogła się przydać tylko do zabijania ludzi. Dama, ożywiona swobodą, jakiéj w klasztorze gdzie była wychowaną i zkąd niedawno ją odebrano, pewno niezakosztowała,—opromieniona wdziękiem młodości i urokiem pierwszych dni małżeńskiego pożycia, oddawała się całą duszą obecnéj zabawie. Co chwilę zwracała się do don Alfonsa, wypytując go już to o szczegóły polowania, już też o malownicze wzgórza, wioski i gaje, które olśnione promieńmi wschodzącego słońca, ukazywały się w coraz piękniejszych obrazach, zstępującemu z pochyłości orszakowi. Młoda kobieta, zdawała się drżeć radosnem uniesieniem, na widok natury tak wdzięcznie harmonizującéj ze szczęściem, którem się czuła przepełnioną.

Pod wpływem innych zupełnie myśli postępował obok niéj młody jéj małżonek; a gdy z uśmiechem pełnym słodyczy i żywości zachęcała go aby się rozweselił:

— Czyż mogę być wesołym droga Emiljo?—odpowiedział,—wiesz jak okropne nieszczęście przypominają mi te miejsca. Zapewne pamięć don Alfonsa przechowała żywiéj straszliwy cios, który w tym lesie ugodził w moją biedną matkę.

— Oh... tak... w istocie... słyszałem ja coś o tem... pomrukuął feodatariusz, marszcząc jeszcze bardziéj swoje zwykle zmarszczone, ciemne brwi.

— W którym naprawdę punkcie miał miejsce ten wypadek?..—nalegał don Aleksander, gdyż tak nazywał się ów młody pan.

— Tam.. cokolwiek niżéj... to zapewne blisko kapliczki Madonny d' Imbevera;—odrzekł niechętnie don Alfonso.

— Czy dotąd jeszcze niewykryto zupełnéj prawdy?

— Nie wykryto,—odparł don Alfons wzruszając ramionami i wlepiając prosto w oczy don Aleksandra swój piekielny wzrok, podobny do wzroku żmii, kiedy ma rzucić się na kogo aby skaleczyć. Chciał widać przeniknąć do głębi jego duszy, ale niedojrzawszy na twarzy młodego towarzysza najmniejszego śladu podstępu lub podejrzenia, mówił daléj:

— Jakżeby można dobadać się prawdy, kiedy te miejsca były wówczas przepełnione złodziejami i bandytami; nieprawdaż gajowy?

— Aj! aj! jaśnie wielmożni panowie! zawołał gajowy potakując śpiesznie swojemu panu,—było ich tu, było, miałby głowę ktoby mógł policzyć, a każdy z piekielnie twardem sumieniem. Kain Pusiano, Raspagno Garbagnate, Spazzacampagne Broncio, i inne psy, które gotowe były napaść bodajby nawet na księdza!

— Bez żadnego skrupułu!—dodał don Alfons;—ale potrafiliśmy złemu zaradzić; od chwili kiedym obsadził okolice temi kotami (i z uśmiechem wskazał na swoich pachołków)—ów szatański gatunek myszy całkiem został wytępiony. Teraz, możesz pan przebywać las bez żadnéj obawy.

— Jednakże chciałbym wiedzieć... odezwał się niekoniecznie zaspokojony tą odpowiedzią don Aleksander,—lecz Alfons któremu podobne zapytania wcale niezdawały się być do smaku, zwolnił koniowi cugle, spiął go silnie ostrogami i popędził jak wicher, a za nim całe towarzystwo. W parę chwil późniéj, wypuścił przeciw jakiemuś ptakowi swojego sokoła, lecz sznurek na którym skrzydlaty goniec był uwiązany za łapkę, wymknął się z ręki don Alfonsa. Sokół wzbiwszy się w górę zakreślił w powietrzu kilka szerokich kręgów, potem widziano go zdaleka, jak spuścił się na dach karczemki, stojącéj w lesie tuż po nad drogą.

Był to ubogi domek, przyozdobiony od strony północnéj bluszczem, a od południowéj, dotykający maleńkiego, starannie uprawionego ogródka, w którym pod samą ścianą wyrastała świeża latorośl winna, mająca późniéj ocienić okienko, przystrojone tymczasem doniczkami z lewkonią.

Ku tej więc karczemce skierował orszak aby odzyskać sokoła, przywołując go po imieniu, wabiąc pokarmem i starając się znajomemi głosami uśmierzyć jego przestrach.

Zaledwie posłyszano tentent koni, a co gorzéj, dojrzano zbliżającą się kawalkadę, w cichym domku nastąpił ogólny popłoch. Młody chłopak zajęty w izbie jakąś robotą, skoczył jak oparzony i wtłoczył się w najciaśniejszą kryjówkę; matka zatrudniona szorowaniem statków, wypuściła z rąk zwitek łyka z popiołem; oberżysta pomięszany, zgłupiały, ściągnąwszy podkasane rękawy koszuli, zerwał z głowy czapkę i wybiegł przed drzwi na powitanie gości.

— Ah.. jaśnie państwo!.. jaki zaszczyt ... bełkotał niezrozumiale i co moment odstawiał, to znów przysuwał nogę do nogi, oddając głębokie pokłony don Alfonsowi.

Ale jaśnie pan niespojrzał nawet na niego jakby go tam wcale nie było; wydał rozkaz i w mgnieniu oka służalcy wpadli do domku, przebiegli wszystkie stancyjki, kilku wdrapało się na dach i nareszcie schwytali zbiegłego ptaka; niepierwej jednak, aż sokół wyrwawszy się jednemu z pachołków, wleciał do izby gdzie pozrzucał na ziemię dzbanki, szklanki, talerze, słowem wszystko co mu popadło pod skrzydła.

Oberżysta nie pisnął ani słóweczka skargi; zaledwie ośmielił się zamienić trwożne spojrzenie ze swoją niemniej przelękłą żoną. Tymczasem don Alfons wziąwszy na rękę sokoła, upieścił go, poklepał i miał do niego długą przemowę. Potem zawrócił konia i byłby odjechał niewyrzekłszy ani słowa do oberżysty, lecz jakaś nowa myśl przyszła mu do głowy.

— Słuchaj no!—zawołał na gajowego,—ponieważ trafem szczęśliwym zajechaliśmy aż tutaj, zostaw upolowaną zwierzynę,—a ty,—dodał zwracając się do oberżysty;—sporządzisz z niéj pieczyste i przygotujesz dużo wina, bo za trzy lub cztery godziny powrócimy. Będziemy jedli śniadanie w lasku.

— A jeśli zbraknie choć jednego skrzydła, drogo mi za nie zapłacisz!—dorzucił gajowy z zuchwalstwem właściwem zausznikom złych panów, przeliczając oberżyście zwierzynę.

Nareszcie don Alfons skinął,—wszyscy wsiedli na koń i odjechali.

Oberżysta, dla którego ten prawdziwy najazd nie mógł być dobrą wróżbą, zaledwie ich ujrzał oddalających się, zawołał kładąc czapkę na głowę;

— Chwałaż Ci wielki Boże!

— I wam wszyscy Święci!—dodała niewiasta żegnając się pobożnie; potem, ochłonąwszy cokolwiek zawołała.

— Cypryjanie! Cypryjanie! a wyleźże już z kąta!

Cypryjan, ich syn, był właśnie owym młodym chłopakiem, co się tak śpiesznie wcisnął Bóg wie gdzie. Na zaspakajające wezwanie, wygramolił się z ukrycia i zaczął otrzepywać swoją odzież z kurzu i pajęczyny a tymczasem matka zbierając szczątki potłuczonych statków, opowiadała mu świeżo zaszłe zdarzenia z tak chłodną rezygnacją, z jaką opowiada się komuś o wczorajszej przelotnej gorączce. Ojciec zaś, zabrawszy się do oporządzania pozostawionej mu zwierzyny, zawołał:

— Wielką ma słuszność nasz syndyk, utrzymując że pewni ludzie są jak ślimaki, które gdziekolwiek przejdą, pozostawiają ślad.

— Eh!—odrzekł wesoło chłopak,—możemy jeszcze przeżegnać się łokciem, że się tylko na tem skończyło. Ja sobie wyobrażałem .... bo to ... trzeba wam wiedzieć, że przed kilkoma dniami zabiło się zajączka...

— Zabił zająca!—wykrzyknął ojciec, przerywając sobie obdzieranie ze skóry jednego z trzech ciepłych jeszcze, powierzonych mu do upieczenia.

— Zabił zająca!—powtórzyła matka załamując ręce;—no i słyszał kto coś podobnego! Czy ty nieznasz rozkazów? A rozkazy pańskie powinny być szanowane; sam ksiądz wikary ciągle to nam powtarza...

— Sam Ksiądz wikary pomruknął chłopak potrząsając głową,—ach! cóżbym nie dał za to, żebym i ja mógł zajrzeć do mszału, a przekonać się czy tam napisano, abyśmy tylko sami byli zawsze posłuszni, a nigdy....

Tu przerwał swoją myśl, jak gdyby wyrzekł coś niestosownego, potem dodał:

— Mniejsza z tem,—Ksiądz wikary ma rozum i wie dobrze co mu wypada mówić. Bądź co bądź ja nie mogłem uczynić inaczej. Dopóki zając dostawszy się do ogródka psuł tylko grządki i zajadał kapustę pociłem się jak mysz, alem był jeszcze cierpliwy. Lecz tam jest przecie latorośl winna, którą przed dwoma laty przyniósł mojej siostrze Brygidzie ogrodnik właściciela przędzalni; jestt o gatunek nadzwyczaj rzadki, a co ważniejsza, droższy Brygidce od oka w głowie, bo któż wie jakie się tam wspomnienia łączą z tym podarunkiem. Zasadziłem szczep w ogródku, pielęgnowałem z taką troskliwością przyjął się pięknie, aż tu ni ztąd ni zowąd ten przeklęty zając dalejże dobierać się do niego! A! wolałbym, żeby mi odgryzł palec u prawej ręki!

— Masz cokolwiek słuszności,—mówił ojciec,—ale dość było wystraszyć żarłoka, razem z nieszczęściem jakie z nim Pan Bóg zesłał nam może.

— Dobrze mówicie ojcze,—odpowiedział Cypryjan dość go było wystraszyć—i jeżeli mam wyznać prawdę jak na spowiedzi, nic mu innego nie zrobiłem. Ale wystraszony zając wpadł prosto pod nogi Cecchina Forno, a ten ma dobre oko i nie lubi żartować, to też głasnął go kijem po łbie, tak, że nie potrzebował poprawiać. Djabli nadali że nie daleko z tamtąd włóczył się ten zapowietrzony gajowy. Zaczął wrzeszczeć na całe gardło nie żałując ślicznych wymysłów—i dalejże za nami! Ale byłby zuch gdyby dogonił! Nie poznał nas—i cały zziajany krzyczał tylko: „czekajcie łotry, przyjdzie kreska i na was!"

— Jeżeli tak jest jak mówisz,—odezwała się matka,—po cóż się bać i chować? Gdyby cię ktoś o to zaczepił, dość odpowiedzieć:—„nie panie, mnie tam wcale nie było, to zrobił ten a ten—"rozumiesz?

— Co, co, co? zawołał chłopak z zaiskrzonemi oczami, prostując się dumnie,—ja miałbym dla ocalenia siebie oskarżać towarzysza? Odkąd świat światem, jeszcze nie słyszano aby ktokolwiek z Brianza popełnił taką podłość. A ja chcę nosić kapelusz jak się należy, nie myślę weiskać go na oczy przed ludźmi.

— Cypryjan ma cokolwiek słuszności,—wyrzekł znów ojciec sentencjonalnie; tymczasem chłopak mruczał coś przez zęby, chcąc się powoli uspokoić, ale młoda krew przemogła i zawołał.

— Bodajby się to wszystko razem zapadło pod ziemię!—Orso di Barzago, dla tego, że to on a nie kto inny, to już może się dopuszczać wszystkiego co mu najgorsze przyjdzie do głowy; może nas biednych wieśniaków kazać bić, katować, zabijać, i to nie idzie mu trudniej, jak połknąć świeże jajko, a dla nas, to już śmiertelny grzech, jeżeli zabijemy lada szkodnika zająca, gdy nam wyrządza krzywdę. Cóż u kaduka! czy i my nie chrześcijanie? czy i nas Pan Bóg nie stworzył jak innych? Czy Jego prawa nie dla wszyst-

kich? To zupełnie tak jak gdyby Pan Bóg bał się go dla tego, że on *Orso*!

— Oh! na miłosierdzie nieba! przerwała niewiasta,—mówże o nim z poszanowaniem. Czy nie wiesz ileby nam złego mógł wyrządzić? a jednak pozwala żyć. Zresztą tylko niegodziwe języki robią go tak złym; sam przecie widzisz jak się zawsze modli w kościele, a czyliż co sobota nie każe palić lampki przed Madonną w kapliczce d'Imbevera?... a czyliż.....

— Tak, tak,—pomruknął Cypryjan,—każdy złodziej ma swoje nabożeństwo. Ale zapytajcie no młynarza z Santa Maria Hoe, jaki on dobry! Biedny młynarz, za to, że ma ładną i rozumną żonę, ślicznie został wykierowany; zapytajcie Mariantonii z przędzalni, dawniéj uczciwéj i spokojnéj dziewczyny, a popatrzcie co się z niéj dziś zrobiło; zapytajcie Carlandrea Gobbo, który za to, że nie chciał ustąpić swojego kawałka gruntu, dostał tyle kijów ileby się nie zmieściło na najtęższym ośle, i jeszcze potem prześladowali go dopóty, dopóki nie zbiedniał jak Job. A niedawniéj jak przed miesiącem, kiedy Leonard Rosina spłoszył niechcący kosa, który miał wpaść do samotrzasku, czy ten łotr gajowy nie strącił go jak piłkę ze stromego wzgórza, wrzeszcząc za nim: „spodziewam się, że cię tu więcéj djabli nie przyniosą?" Oh! ten gajowy, ten gajowy! takich psów Bóg nie zabija! Albo znów niedawno....

Kto wie kiedyby Cypryjan zakończył tę litanję nadużyć, które jako najświeższe, najpierwéj przybiegały mu z pamięci do ust, i które mogą być jeszcze jednym dowodem, jak wielką bywa cierpliwość udręczanych, gdyby mu nieprzerwała zgorszona jego zuchwalstwem matka.

— I cóż z tego? co z tego?—mówiła na pół z gniewem, na pół z bojaźnią,—gdzie masz sumienie odzywać się w ten sposób o panach? Ej! chłopcze, pamiętaj, że cię Bóg ukarze. Czyż on sam nie stworzył jednych do rozkazywania, drugich do posłuszeństwa? Wszakże panowie zowią się dla tego możnymi, że im Bóg dał moc rozkazywania, a naszym obowiązkiem wypełniać ich wolę. Nie rozpatruj się w niéj tak bardzo... rozumiesz? Patrzcie! jaki mi mędrek! onby chciał przerobić to co Stwórca uczynił.

— Twoja matka ma cokolwiek słuszności,—zawyrokował znów oberżysta;—nie słyszałżeś więcéj niż sto razy, że przeznaczeniem takich jak my chudopachołków, połykać chleb ze łzami, a prawem tych co rozkazują, robić co im się podoba, zwłaszcza kiedy mogą?

Ale idea prawa i mocy, nie mogły się jakoś połączyć w jedno w mózgu Cypryjana. Przebaczcie mu, był jeszcze zanadto młody. To też kiwnął głową jak ten, co raczéj przez rozsądek, aniżeli z przekonania uznaje się pokonanym, dopiero po małéj chwili zawołał:

— Aj! gdybym tak ja miał władzę ustanowienia porządku na świecie, zgadnijcie cobym uczynił? Oto tych którzy pracują wywyższyłbym nad wszystkich innych, a próżniaków zamorzyłbym głodem. Ha! ha! ha!..

I prawie zanosił się od śmiechu wypowiedziawszy takie dziwactwo....

— No proszę! czy można palnąć potężniejsze głupstwo!—powtarzał ojciec, śmiejąc się również serdecznie.

Nawet i matka rozweseliła się cokolwiek, ale wróciwszy niezadługo do swojej zwykłéj posępności, rzekła:

— Na co ta bezrozumna gadanina? Gdybyś miał trochę bojaźni Bożéj, bałbyś się także ludzi, zaszyłbyś sobie gębę i nie bajałbyś pewnych rzeczy nawet dla śmiechu. Ale ty już od maleńkiego byłeś koziem, lubiłeś się wyrywać z konceptami, których pewno nie słyszałeś ode mnie. Tobie się nawet nie zdawało sprawiedliwem, kiedy cię bili w szkole lub na nauce. Za to dziś jesteś już w wieku w którym powinienbyś umieć trzymać język za zębami; powinienbyś wiedzieć jak trzeba żyć na świecie i pamiętać, że panowie są jak czarownice, których najlepiéj ani w dobrym ani w złym razie nie wspominać. Gdybyś postępował rozumnie, przybycie dziedzica nie napędziłoby ci przed chwilą takiego strachu; kto pilnuje swojego nosa, nie potrzebuje się troszczyć czy tam panowie źli, czy dobrzy.

— Ja też nie chciałem, aby mojemu nosowi stała się krzywda, odpowiedział Cypryjan, i nie przez co innego, tylko przez rozsądek zemknąłem wtedy, kiedy mnie spostrzegł gajowy; bo nareszcie, w razie potrzeby, i ja potrafię się z much opędzić. A jeżelim się schował przed chwilą, to przez uszanowanie dla pana, gdyby gajowy poznał we mnie wspólnika zabójstwa owego zająca i oskarżył przed don Alfonsem, mogłaby się tu wytoczyć djabelna sprawa i rozprawa. Juźcić ja wiem, że panowie są panami, ale ta cała hałastra ich sługusów, to krew burzy w człowieku! Oj, niech się mają na baczności, bo i ja nie z kamienia; jeśli mię który zniecierpliwi, potrafię i ja wlepić mu pięść między ślepie, aż zobaczy swoją prababkę!

— Dosyć już tego! przerwała matka, skończ bo i tak za długo. Daj im święty pokój, a i oni cię nie zaczepią. Wreszcie choćby i zaczepili, to zawsze lépiéj umknąć im z drogi, niżeli szukać guza. Skończyłeś już dwudziesty czwarty rok, czas porzucić głupstwa. Daléj mój mędrku, zamiast nabijać sobie głowę tem co być nie może, pomóż ojcu skubać ptastwo, przyłóż drew do ognia i zbierz trochę brzoskwiń, a wleź na drzewo, żeby ich nie poobtłukiwać.

Chłopak czynił co mu kazano, ale jak organista który leciuchno trąca klawisze w tonie w jakim dopiero co grał, i w jakim za moment ma grać daléj, tak i on raz po raz pomruknął jakieś urwane słówko, dopóki znowu nie zaczął na dobre.

— Moja siostra, którą mało powiedzieć że kocham z całego serca, ślicznieby mię powitała gdybym pozwolił zburzyć jej winnicę. „Ładnie panie Cypryjanie! powiedziałaby Brygida, doskonale wypełniasz moje prośby! Wszakże cię upominałam"... Ale, ale! kiedy mowa o mojej siostrze.... wszakże to jutro Narodzenie Najświętszéj Panny?

— Nieinaczéj, odpowiedziała matka, i dobrzebyś uczynił, gdybyś uświęcił wilję téj uroczystości przynajmniéj umartwieniem języka.

— I owszem, ale czy to nie dzisiaj Brygidka ma powrócić z przędzalni?

— Prawda!—zawołali razem rodzice.

— A jeżeli idąc przez las natrafi na polujących...

— Aj do djabła!... krzyknął ojciec uderzając się ręką w kolano.

— Boże Wszechmogący! zawołała matka załamując ręce. I wszyscy troje przerwawszy robotę, kolejno spoglądali w oczy jedno drugiemu.

— Trzeba ją polecić Matce Boskiéj Imbewerańskiéj, która ją zasłoni przed wszelkiem złem...—dodała po chwili niewiasta.

— I owszem można ją polecić—odrzekł Cypryjan, ale swoją drogą Pan Bóg powiada: „pomagaj sobie, a i ja ci pomogę".

— Cóż więc począć?—spytała matka.

— Co począć? powtórzył ojciec,—i znów zamilkli. Ale Cypryjan nie namyślał się długo.

— Nic, nic, zdajcie to na mnie, pójdę na jéj spotkanie.

— A potem?.. dorzucili rodzice.

— A potem?.. potem będzie co będzie. Czego się bać? Kiedy idę w uczciwym zamiarze, czuję w sobie odwagę lwa.

— Ha! uczyńże to, czem cię Bóg natchnął.

Ledwie wyrzekli „amen" — już Cyprjan wziął ze stołka kapelusz, wydobył z po za drzwi potężny kij, nie zapomniawszy na wszelki przypadek wsunąć w kieszeń sporego noża, bo żaden porządny człowiek nie wychodził w owych czasach na świat, niezaopatrzywszy się nożem i różańcem. Matka patrząc z zadowoleniem na odwagę, którą ganiła przed chwilą nie sercem lecz tylko słowami, stanąwszy w progu błogosławiła syna.

— Niech cię Boska opieka nie odstępuje! wołała za oddalającym się wesoło Cypryjanem.

Niezadługo, doszedł do kapliczki Madonny d' Imbevera. W drobnym tym budyneczku, umieszczono wymalowany mniéj niż zazwyczaj niedołężnie, gwaszowemi farbami, obraz Téj, która będąc zarazem Matką Boga i naszą, wzbudza w nas ufność, abyśmy się zwracali ku Stwórcy i za Jéj pośrednictwem składali u stóp Jego modlitwę o wszystkie nasze potrzeby. Była wyobrażona w postawie ściskającéj wężową głowę; u góry czytano słowa Genezy: *„Conteret caput tuum"*; po obu stronach wymalowano ornament w kształcie słupów, owiniętych niebieską wstęgą, przytrzymującą każdym swym zwojem po parze założonych na krzyż trupich kości; u stóp obrazu stał pieniek na którym podróżni, pobożni lub bojaźliwi, składali drobną monetę jako jałmużnę dla biednych. Żaden też z podróżnych i pobożnych nie przeszedł obok kapliczki nie uchyliwszy kapelusza i nie odmówiwszy przynajmniéj trzy razy, pozdrowienia anielskiego. Szczególniéj wieśniacy z tamtejszych okolic, mieli ją w wielkiéj czci, przypominając mnóstwo cudów, jak je nazwali, otrzymanych za pośrednictwem Madonny Imbewerańskiéj, a o których świadczyły bandaże, szczudła, łachmany, i t. p. ozdoby, wcale niemalowniczo pozawieszane naokoło obrazu. Stare niewiasty przypisywały Jéj także rozpraszanie czarownic, które dawniéj, za ich pamięci, zbierały się co sobota w nocy, na szkodliwe narady i tańce pod konarami drzew orzechowych. Dziewczęta przybiegały tam z modlitwą, któréj przedmiota same przed sobą nie śmiały wyznawać i wyłuszczać; mężczyzni modlili się o wszystko czego wymagał ich własny, chwilowy interes; nieraz też jednocześnie klęczał tam wieśniak błagający o deszcz i podróżny proszący o pogodę, a żaden z nich nie przypominał sobie pewno słów Chrystusowych: *„Proście o królestwo niebieskie, a reszta będzie wam daną"*.

Cypryjan w krótszym czasie niż go nam zajął ten opis, pomodlił się gorąco przed kapliczką, złożył jałmużnę na intencją zmarłych, i poszedł daléj pośpiewując. Kapliczka o któréj mówimy, przed niewieloma laty została tam zbudowaną, a jéj pochodzenie łączy się z historyą panów, których powyżéj spotkaliśmy w lesie na polowaniu; historyą okrutną, krwawą, jak prawie wszystkie wspominane z owych czasów wypadki.

Nienawiść pomiędzy panami Isacchi z Barzago a hrabiami Sirtori z Sirtori z których pochodził wymieniony powyżéj don Aleksander, sięgała jeszcze czasów kiedy na ziemi Włoch, któréj przeznaczeniem było pić krew wszystkich narodów, przelewali swoją Hiszpanie i Francuzi, dobijając się posiadania straconéj przez swoich dawnych panów Lombardji. Panowie lombardzcy trzymali stronę pierwszych lub drugich, stosownie do własnego interesu lub przywidzenia, albo według tego co sądzili lepszem dla kraju, przyspieszając tym sposobem ruinę, któréj mniemali zapobiegać.

Wtedy emulacya stronnictw zburzyła wszelką harmonję społeczną, wróciła prawo mocniejszego i każdy z możnych maskując się nazwiskiem frakcyi i tak wypowiadając i prowadząc otwartą wojnę, czynił zadosyć swoim nienawiściom i zemstom prywatnym. Często przed zamkiem jakiego barona zjawiał się herold i przybijał na bramie kartę która zapowiadała: „ Ja, ten i ten od dziś będę twoim śmiertelnym wrogiem, będę się starał o ile zdołam szkodzić tobie, twoim poddanym i krewnym, zarówno na osobie jako i na majątku.” Nieraz przyjmującym lub wysyłającym podobne wyzwanie, był cech rzemieślniczy lub cała gmina i z tego punktu wszelką niegodziwość uważano jako uprawnioną.

Isacchowie trzymali z Francuzami; Sirtorowie zaś sprzyjali Cesarskim i często zadawali sobie nawzajem potężne klęski albo jeżeli nie sobie to przynajmniej niewinnym włościanom, którzy podług odwiecznego zwyczaju, własnemi nieszczęściami płacą szaleństwa panów. Ale panowie z Barzago wspierani liczniejszą frakcyą, mieli przewagę w stronnictwach z Brianza, a don Giberto, dziad obecnego Feodatariusza, na czele silnej bandy, zmuszał przeciwników do uległości i trzymał wszystkich w niebezpieczeństwie i trwodze. Naostatek Hiszpanie przemogli; Francuzi ustąpili z kraju, a ich stronnicy pozostali bezsilnymi jak przeciwna partja podniosła głowę. Do zarządu Lombardyą został przeznaczony książe Alby, surowy, nieugięty, który nie patrząc czy kto ma na czole napisane pan albo plebeusz, kazał krwią płacić każde pogwałcenie swoich rozporządzeń. Że zaś taki system powinien zdobyć sobie powodzenie, okazał zaraz w pierwszych dniach swoich rządów. kiedy za to że jakiś medyolański szlachcic nie zdjął przed nim beretu! gdy w tryumfie przejeżdżał przez miasto skazał go bez najmniejszych formalności na śmierć. Sirtori zaślepiony zapamiętałem przywiązaniem do swojego stronnictwa i pragnieniem zemsty, skorzystał ze sposobności, aby odmalować don Giberta jako upartego buntownika, skutkiem czego, bez wielkich trudów otrzymał od gubernatora jeden z owych nieumiarkowanych wyroków, wydawanych najczęściej w upojeniu zwycięztwa, mocą którego naznaczono dwieście skudów złotem nagrody za głowę don Giberta.

Don Giberto który dotąd nie złożył broni, i na czele garstki najodważniejszych trzymał się odpornie, posłyszawszy o tym wyroku uśmiechnął się i uderzając w rękojeść miecza, zawołał.

— Kto chce mnie zabić, będzie miał pierwej z nim do czynienia.

Liczył na siłę otwartą a nie myślał o zdradzie. Tymczasem pokusa nagrody przemogła jednego z jego zaufanych, który go zamordował i otrzymał złoto razem z pogardą, wiecznym udziałem zdrajców. Odciętą głowę don Giberta Isacchi, zamknięto w żelaznej klatce i na wysokiej tyce wystawiono na drodze, przerzynającej las z którego zwykł był za życia wypadać z bandą swoich, na pustoszenie, mord lub rozpustę—aby tam była nieustannem godłem postrachu. .

Hańba i kara rodziców, według ówczesnej sprawiedliwości spadała na dzieci i krewnych; nie potrzebuję więc dowodzić jak dalece ta zniewaga oburzyła rodzinę Isacchich. Nie bez słuszności cały jej powód przypisywano Sirtoremu; zatem pragnienie zemsty przeciw niemu, tem goręcej podżegało dawną nienawiść, im silniej było tłumione ówczesnym stanem politycznym. Książę gubernator kazał publicznie ogłosić, aby wszelkie niesnaski pomiędzy rodzinami ustały, osoby prywatne nieważyły się chwytać za oręż z niewiadomych ogółowi powodów, i uzurpować prawo wojowania, jak to czyniły podczas ostatnich zamieszek. Isacchowie tedy, zmuszeni uciekać się do dróg legalnych, przedstawili na madryckim dworze usprawiedliwienie don Giberta. Poparcie znakomitych osób i śmierć księcia Alby, przyczyniły się że wysłuchano przychylnie ich sprawy, skutkiem czego po pięciu latach przyszła ekspedycja ogłaszająca don Giberta niewinnym, i unieważniająca wyrok zapadły przeciw niemu. Isacchowie musieli na nowo ukazywać się na pokojach dworskich, gdzie przedstawili iż bądź co bądź, uniewinniony został jednakże zamordowanym; dwór więc, nie wiem po jakim przeciągu czasu, kazał ogłosić, że ojciec poniósł śmierć niesłusznie, wrócił synowi dawniejsze tytuły i godności, wreszcie oddał mu dobra, które jako własność buntownika, skazane były na pozostawanie bez uprawy. Rzucenie skonfiskowanych gruntów odłogiem było także jednym ze środków, jakiemi ówczesny rząd przyczyniał się do pomyślnego rozwoju rolnictwa i handlu!

Głowę zamordowane zdjęto nareszcie z tyki a jego syn, tak na pamiątkę, jako i na zmazanie winy, kazał w tem samem miejscu wybudować kapliczkę, która właśnie była kapliczka d'Imbevera. Idąc za głosem owej spaczonej religii, co wszelkim niegodziwościom użyczała Bożego imienia, don Alfons nawet w wyborze świętego obrazu jaki wypadało tam umieścić obmyślił postać, któraby nieustannie przypominała mu zemstę. Kazał odmalować najczystszą z dziewic ścierającą głowę węża niby jego dawnego wroga, z wypisanemi u góry słowami Genezy, brzmiącemi jak krwawa groźba.

Ztąd też Isacchi, chociaż zmuszony żuć w milczeniu wędzidło, dalekim był od zapomnienia dawnej zniewagi. Przyzwyczajony w owych latach patrzeć na ustawiczne zmiany rządu po każdej potyczce zbrojnej lub gabinetowej, przez długi czas żywił nadzieję, że lada moment nowi panowie wypędzą obecnych, że powrócą błogie czasy prywatnych nadużyć, ucisku, najazdów przy dźwięku trąb i rozwiniętych sztandarach, co wszystko między Chrześcijanami nazywało się szlachetną zemstą. Ale Hiszpanie usadowili się tam, aby nieruszyć aż po upływie półtora wieku i pilnowali jakiego takiego porządku. Z tego powodu wydało się panu d'Isacchi rzeczą daleko roztropniejszą pozyskać sobie przychylność nowych władzców, czego dokonał zaciągając się pod sztandary Hiszpanów, kiedy ci starali się potokami krwi ugasić we Flandryi nieporozumienia religijne, a mimo woli i wiedzy zapłodniali tam ziarno wolności. Potem korzystając z krytycznego położenia rządu ,który będąc panem kopalni amerykańskich ciągle potrzebował pieniędzy, kupił na lenność za pięćdziesiąt tysięcy dukatów gminę Barzago, gdzie były jego posiadłości dziedziczne, z prawem nakładania podatków, więzienia, torturowania, wieszania, słowem z tem wszytkiem co się nazywało wykonywaniem sprawiedliwości.

Ponieważ zaś groźna słabość ówczesnych praw pozostawiała sposób zastępowania miecza puginałem,—bohaterskiego szturmu podstępami, wyzwania trucizną,—chwytał więc każdą sposobność szkodzenia panom z Sirtori i dopóki mu starczyło życia, ciężkie im klęski zadawał. Jednak to nienasyciło jego nienawiści i śmiertelnej zemsty.

Dalszy ciąg prześladowań przekazał swemu synowi don Alfonsowi. Zaledwie ten powrócił z dworu madryckiego, gdzie po ukończeniu jednego z pierwszych kollegiów został według zwyczaju szlachty wysłany na pazia, dla nabrania ostatecznej ogłady między dumnymi i rozpustnymi próżniakami przedpokojów, jak niemniej, aby korzystał z przykładów swych chciwych, nienasyconych a pobożnych monarchów,—ojciec natychmiast zaczął mu szeroko i długo rozpowiadać o nieszczęściu dziada. Od czasu do czasu pokazywał głowę zamordowanego, którą z wielką czcią przechowywał w własnym pokoju,—a ile razy wypadło im przybywać las d'Imbevera, opisywał z większym niż zwykle zapałem popełnione okrucieństwo, wpajając w młode serce świętą powinność zemsty za rodziców, jaką honor nakazuje każdemu szlachcicowi. Często obadwaj naradzali się w jaki ją sposób uskutecznić, i unosili się nad tem, jak pięknie byłoby dokonać zemsty w tem właśnie miejscu, gdzie się wznosiła pamiątka zniewagi.

Nareszcie ojciec, czując się bliskim skonu, zawołał don Alfonsa i zdjąwszy z szyi złoty medaljon, na którym było wyobrażenie Bożej Rodzicielki, rzekł:

—„ Widzisz ten święty obraz? spoczywał on długo na piersiach nieodżałowanej pamięci Don Giberta mojego ojca. Pomyśl jak mi był drogim. Dziś w chwili pożegnania się z życiem, zostawiam go tobie mój Alfonsie, ale razem z nim leguję najświętszy obowiązek pomszczenia tego, do którego należał pierwej. Wszystkie walki z nieprzyjaciołmi naszej rodziny-dzięki Najwyższemu, kończyły się zawsze dla nas świetnem zwycięztwem, dla nich dotkliwą klęską; nikt nie może się pochlubić, że się dopuścił względem nas nadużycia, za któreby stokroć srożej nie odpokutował. Synu mój nie odrodź się od twoich ojców, zachowaj tę chwałę nieskalaną! Mogęż umrzeć spokojnie, pocieszony tem zaufaniem?

Zaledwie syn zanosząc się od płaczu, poprzysiągł wypełnić jego ostatnią wolę, starzec rozpogodził oblicze i w kilka minut skonał. Nieszczęśliwy, gdy nie mógł wzniecić, w swej duszy szlachetniejszych uczuć mając stanąć przed sądem gdzie winy nasze będą odpuszczone podług tego, jako i my odpuścimy naszym winowajcom!

Tymczasem młodym Alfonsie utkwiły i pozostały idee religii, połączone z wyobrażeniem zemsty; obraz matki miłosierdzia, święte wyrazy, tkliwe napomnienia konające, z przyrzeczeniem morderstwa Zresztą, gdyby to nie wystarczało, znalazł się inny powód podżegający nienawiść, a tym było małżeństwo które Sirtori, ojciec don Alexandra zawarł z bogatą dziedziczką hrabiów Perego, na którą, albo mówiąc jaśniej, na której bogactwa i tytuły, don Alfons zwracał chciwe spojrzenia.

Z przyczyny tej rywalizacyi tak jeden jak drugi mieli się względem siebie na ciągłej baczności; żaden z nich nie pokazał się na ulicach Medyolanu bez licznego orszaku przyjaciół i służalców, a raczej gotowych na wszystko bandytów. Zdarzyło się, że don Alfons w dniu Zielonych świąt, wszedł z kilkunastoma towarzyszami do katedry, podczas gdy Karol Boromeusz, który używał całego swojego wpływu, aby w rękach naszej szlachty bratobójczy miecz zastąpić rożańcem, mówił kazanie na tekst: *jeżeli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu również lewego.* Isacchi, przeszedłszy w pośród pobożnej tłuszczy, która mu się rozstępowała, zatrzymał się obok ławek, na których siedział Sirtori ze swoimi przyjaciółmi. Ci i ci zaczęli spoglądać na siebie, jak to mówią—z pod oka;—jeden z satelitów Isacchi'go, czy przypadkiem czy też umyślnie, potrącił łokciem i zgniótł cokolwiek kołnierz najbliższemu z towarzysów Sirtorego; zaczepiony odwrócił się z piorunującem spojrzeniem, napastnik zmierzył go jeszcze ognistszem, ztąd powstał szmer coraz groźniejszy, pośród którego dały się słyszeć dość silnym głosem wyrzeczone wyrazy: „tu jest ktoś co się chce dostać do klatki.”

d. c. n.

Opis do N. 39.

(Dalszy ciąg.)

Model podany przez nas jest koloru piaskowego z materji wełnianéj, rycina 21 przedstawia z przodu sukienkę, przybraną wyszyciem ze sznura w ciemniejszym kolorze. Rycina 22 podaje suknię oszytą pliskami z ciemniejszą wypustką.

N. 23—24. **Wałek pod głowę.** Materjał: aksamit kolorowy; biała materja, kordonkowy jedwab zielony do cieniu, zielona włóczka w różnych cieniach i jedwab na cień najjaśniejszy, ponsowa włóczka angielska i jedwab w czterech kolorach; zielona sznelka do haftu w trzech cieniach; podszewka, włosie. Zwierzchnie pokrycie wałka składa się z trzech pasów wiśniowych aksamitnych i dwóch białych jedwabnych, ozdobionych haftem atłaskowym. Pojedyncze pasy są po 35 cent. długie, środkowy liczy 16 cent. szerokości, boczne po 10 cent.; szerokość haftowanych pasów wynosi 8 centymetrów. Pasy te, po zeszyciu wszystkich od spodu, składają pokrycie 52 cent. długie i 35 szerokie. Deseń podany na rycinie 24 i powtórzony jeszcze raz do połowy, stanowi długość jednego pasa. Oznaczone cienie liści wykonane są kordonkiem jedwabnym, pączki różanne cienką włóczką angielską i kilkoma ściegami peli. Aby nadać wypukłość liściom najpierw podkłada się grubo bawełną i zahaftowywa kordonkiem. Gruby sznur jedwabny w kolorze białym i różowym, tudzież bogate kwasty stanowią przybranie wałka; pod kwastami aksamit zebrany jest w fałdy.

N. 25 Zakończenie krawatki, szarf, kokard, i t. p. Haft z podłożeniem tiulu.

Koniec krawatki podany na rycinie 25, wyhaftowany jest niebieskim jedwabiem na czarnej gazie jedwabnej, z podłożeniem tiulu. Deseń ten bardzo ładnie wydaje się odrobiony atłaskiem na batyście lub muślinie z dodaniem tiulu.

N. 26. Zakończenie krawatki, barbki, szarf i t. p.

Koronka irlandzka z podłożeniem tiulu. Rycina 26 przedstawia w naturalnéj wielkości zakończenie do krawatki, odrobione z koronkowéj plecioneczki z podłożeniem tiulu, co o wiele ułatwia robotę, ponieważ w niektórych tylko arabeskach zarabia się kratki koronkowym ściegiem. Plecioneczka koronkowa przyszywa się drobnemi ściegami na tiulu, przyozdobionym pojedynczemi, dzierganemi muszkami. Tkane pikoty stanowią zakończenie brzegów.

N. 27—28. Szlaki do dywanika ryc. 9 w N. 38 T. Mód.

N. 29 — 30. Rękaw i bretelki do przybrania stanika. Dwa skośne kawałki 6—8 cen. szerokie z materjału w paski, podszyte podszewką, zwężające się ku paskowi z przodu, z tyłu zeszyte w ząb, stanowią podstawę bretelek podanych na ryc. 29. Z przodu bretelki złączone są dwoma poprzecznemi paskami z tegoż materjału, 3 do 5 cent. szerokiemi. Garnirunek stanowi pliska z gładkiego materjału i skośna marszczona falbanka. Odpowiedni do tkich bretelek rękaw półotwarty, rozpruty na szwie, przybrany jest białą koronką i kilkoma skośnemi falbankami z których ostatnia przycisnięta jest pliską.

N. 31 — 32. Chusteczka i rękawki z czarnego tiulu, koronki i aksamitki. Podstawę chusteczki z czarnego tiulu w rzucik stanowi trójkąt, którego dwa proste brzegi są po 66 cent. długie, w końcu śpiczastym zaokrąglone; trzecia skośna strona 90 cent. długa, przecina się w pośrodku wzdłuż na 15 centymetrów. Po odłożeniu brzegów na 1 cent. wzdłuż, tworzy się zręczne wyłożenie, jakie widzimy na ryc. 31. Długość chusteczki od przecięcia do rogu dolnego, skraca się, przez założenie kilku fałdek, do 25 cent. Fałdki zakrywa kokarda z aksamitki i wstążki rypsowéj 3 cent. szerokości, z końcami po 42 cent. długiemi. Brzegi chusteczki i wyłożenia oszywają się koronką 6 cent. szeroką i pół cent. szeroką aksamitką. Falbana do rękawa 52 cent. szeroka i nadmarszczona, przybrana jest tak jak chusteczka. Chusteczka taka może być odszyta z kolorowéj crêpe de chine, z wstążkami i frendzelką odpowiedniego koloru.

N. 33. Suknia z vêtement przybranem kokardami.

Gustowne przybranie vêtement z wełnianego rypsu koloru zielonego (pawiego) do sukni spacerowéj krótkiéj i odpowiednio przybranéj lub do domowego ubrania z gładką powłóczystą spódnicą, składa się z plisowanéj falbanki 7 cent. szerokiéj, 6 cen. szerokiéj riuszy, z przestębnowanym obrąbkiem, czarnéj jedwabnéj frendzli i ładnie ułożonych szarf ze skosów zielonego wełnianego i czarnego jedwabnego rypsu. Karoczek na podszewce, zakończony frendzlą i ułożony w 6 fałdów spotykających się na środku, wymaga prostego kawałka, 70 cent. długiego i 16 centy szerokiego. Dwa czarne jedwabne końce na podszewce, zakończone frendzlą i spądające z pod karoczka liczą po 33 centy. długości i po 12 szerokości. Kokarda na karoczku ułożona jest z pukli czarnych jedwabnych idących w pośrodku, z których większy jest 12 cent. długi i 10 cent. szeroki, boczne zielone pukle są 7 i pół cent. długie, a 8 cent. szerokie. Przepięcie kokard dane z dwóch złączonych skosów zielonego i czarnego. Szarfy boczne z których końce oszyte frendzlą są po 36 cent. długie, układają się z takich jak do karoczka pukli. Kokardy na ramionach zrobione ze skosów 5 cent. szerokich; poniżéj kokard zaczynająca się riusza, z przodu odznacza kwadratowy wykrój. Wolant do rękawów, w pośrodku tylko zaplisowany, przytwierdzony riuszą, składa się z prostego kawałka 90 cent. długiego, w pośrodku 13 z brzegów 8 cent. szerokiego. Tylna podpinana część vêtement wyciętego w zęby, ma 116 cent. długości, z boków jest trochę skośno ścięta, przefałdowana wzdłuż na 31 cent. i złączona z brytem przednim zakończonym u dołu frendzlą.

N. 34. Stojące ramki. Materjał: aksamit kolorowy; czarna materja; sznureczek złoty; 3 żółte haftki, sztywna tektura, mocny drut przepalony. Formę ramek bardzo łatwo będzie wykroić z tektury, podług dekładnego wzoru ryc. 34, zmniejszając lub powiększając rozmiary stosownie do potrzeby. Brzegi wyciętéj tektury oszywa się w około drutem, dla nadania potrzebnéj sztywności. Z tyłu od spiczastego końca między zębami przeprowadzony jest podwójnie drut, stanowiący podpórkę ramek, który pokrywa się aksamitem. Dla zawieszania obrazków przytwierdzone są haftki w miejscach widocznych na rycinie. Zwierzchnie pokrycie stanowi aksamit brązowy na podszewkę zaś dana materja czarna, brzegi otacza sznureczek złoty. Owale 7 cent. wysokie 5 i pół szerokie, wykrojone z tektury, powleczone od spodu materją stanowią tylną ścianę ramek do fotografii lub obrazków, owal przytrzymujący obrazek z wierzchu jest tylko 1 cent. szeroki, powleczony aksamitem i oszyty sznureczkiem, z którego robi się uszko do wieszania. Owalne ramki i ścianę tylną łączy się z sobą w ten sposób, aby od góry można było wsuwać fotografię.

N. 35. Ubranie do konnéj jazdy.

Amazonka odszyta jest z czarnego cienkiego sukna. Baskina zupełnie gładkiego stanika, opatrzonego kieszonką, z przodu dana zupełnie gładko, z tyłu może być dowolnie zszytą, zupełnie roztwartą lub tylko rozciętą. Duże guziki aksamitne i dwa rzędy stębnówki stanowią całe przybranie.

Wykłady na rękawach zrobione na wzorze z tegoż co suknia materjału, mogą być także z aksamitu lub rypsu jedwabnego. Wykładany kołnierzyk i mankiety są z cienkiego płótna, z brzegami przestębnowanemi. Krawatka przewiązana w kokardę jest z krepy jedwabnéj niebieskiéj. Pół wysoki cylinder przybrany niebieską gazą.

N. 36. Vêtement z karoczkiem do paska.

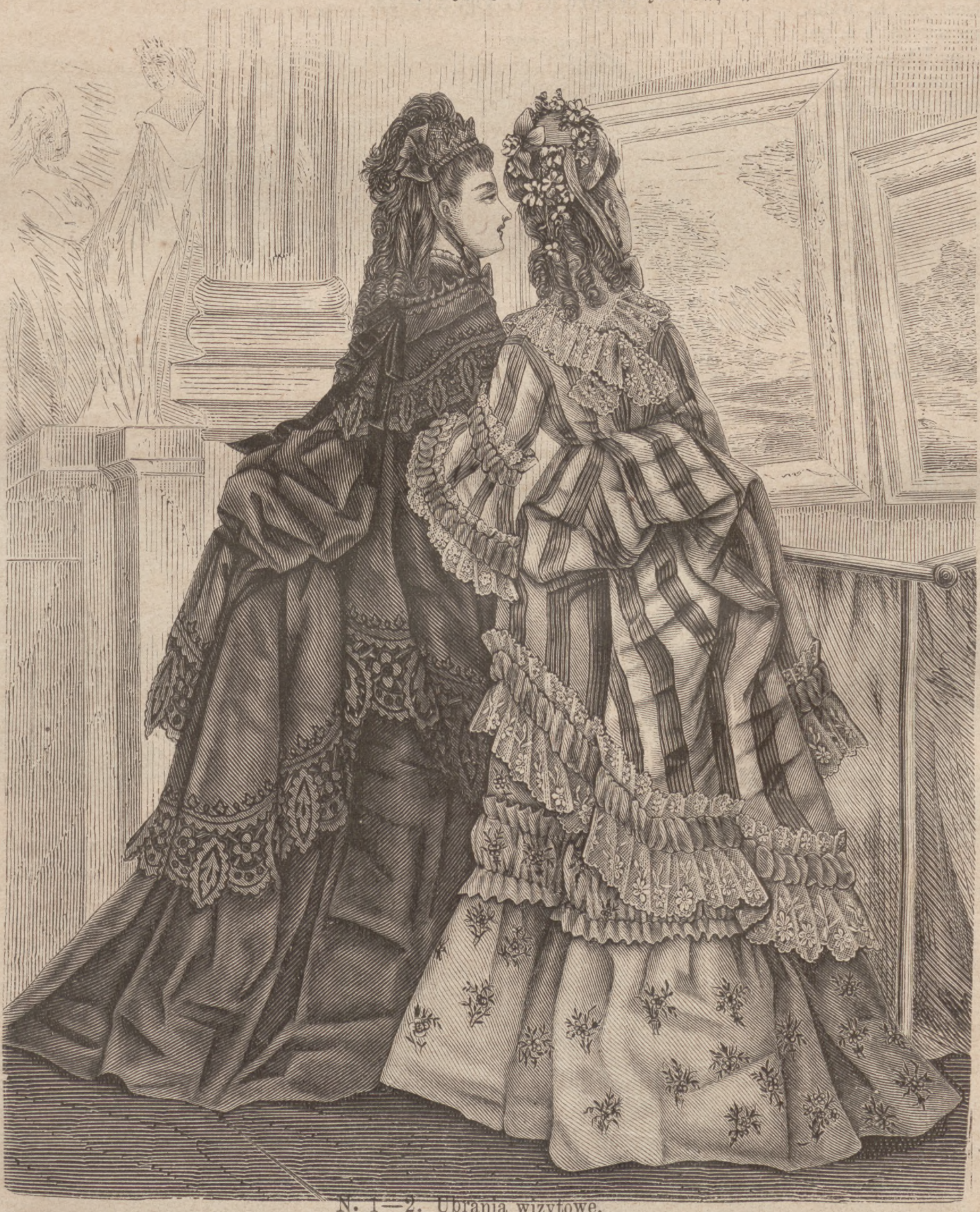
Vêtement, karoczek i rękawki odszyte są z czarnego wełnianego rypsu w rzut kolorowy. Brzegi wycinane są w zęby odjęte jedwabnym rypsem. Na przybranie stanika w kształcie chusteczki i na kokardy do rękawów, użyta jest czarna rypsowa wstążka 6 cent. szeroka; końce tylnéj kokardy liczą po 70 cent. długości. Przybranie czarnego aksamitnego kapelusza składają kwiaty w kolorach różowym i niebieskim, i gałązka róż herbacianych odpowiednio do kwiatów na vêtement. Wysokie rondko, przepasanie i końce przy kapeluszu są niebieskie i czarne.

Opis do N. 40.

N. 1—2. Ubranie wizytowe.

N. 1. Ubranie z tuniką i krótką peleryną.

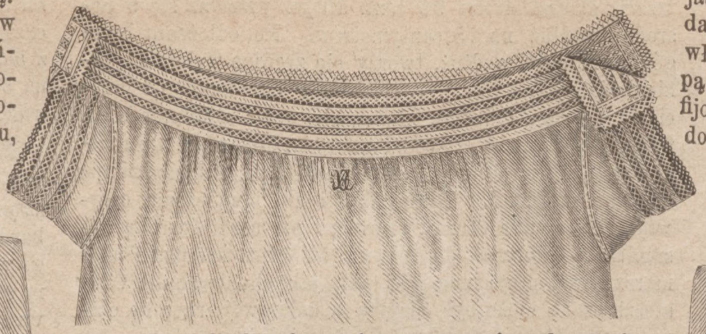
Na gładkiéj spódnicy z niewielkim trenem, włożone jest vêtement, z tyłu suto podpinane. Oszycie stanowi ażurowy haft dziergany kordonkowym jedwabiem koloru śliwkowego, po nad nim dany szlaczek wyszyty sznurem tegoż koloru. Węższy haft zdobi rękawy i pelerynkę z kapturkiem, zakończonym aksamitną kokardą. Kapelusz rypsowy jedwabny, koronki i pióra śliwkowego koloru odpowiedniego do sukni.



N. 1—2. Ubrania wizytowe.

N. 1. Ubranie z tuniką i krótką pelerynką. N. 2. Ubranie z vêtement i chusteczką.

N. 2. Ubranie z vêtement i chustką koronkową. Suknia z materji jedwabnej koloru zielonego wodnego, w rzut z pączków różowych. U dołu bufa z wody, zakończona falbaneczką z obu brzegów, z pod niej spada wolant 30 cent. szeroki. Vêtement jedwabne w pasy kolorowe jak suknia i rzucik z tyłu podpięte à la Watteau, u dołu riusza różowa jedwabna i garnirunek z koronki białej. Chusteczka z tiulu i koronki. Kapelusz różowy jedwabny z białym kwiatem i wodno zieloną wstążką.



N. 6. Koszula damska zapinana na ramionach. Krój i opis na dodatku N. VII, Fig. 23—25.



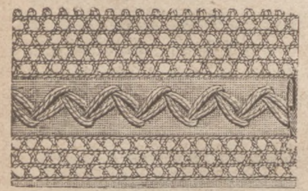
N. 3. Krótka flanelkowa spódniczka z haftem. Deseń i opis na dodatku Fig. 40.

N. 3—8.
Opisy na arkuszu dodatkowym.

N. 9. Szydełkowy brzeżek. Ząbki robione są poprzecznie, rząd zaś słupków robiony podłużnie stanowi podstawę. Ząbki odrabiają się w następny sposób: * 3 o. pow. 3 p., 1 o. śc. w pierwsze 2 o. pikota. Daléj 3. o pow. po nad pierwszemi trzema o. pow. i 2 sł. między dwa p. rozdzielone jak to widać na wzorze 1 o. po. 1 p. i 1 o. pow., 2 o. pow., 1 p. i 2 o. pow. stanowiące środek, a po ostatnim sł. znów 1 o. pow. 1 p. 7 o. pow. 1 o. śc. jako zakończenie ząbka. Powrócić do *.



N. 9. Szydełkowy brzeżek.



N. 7. Szlak do karczka koszulki N. 6.



N. 5. Nocna koszula dla panienki. Krój i opis na dodatku N. VI Fig. 21—22.



N. 11. Pantofel z haftem dzierganym. Krój i opis na dodatku N. IX, Fig. 28—29.

N. 10. Brzeżek frywolitowy robiony dwoma nitkami. Pierwszy rząd stanowią naprzemian 2 pod. węz. i 1 p. Każdy ząbek drugiego rzędu, zaczepiany za pikoty poprzedniego rzędu składa się z 12 pod. węz. rozdzielonych 1 p. na środku. Ząbki trzeciego rzędu liczą 18 pod. i 4 p. następujące po sobie w ten sposób, ażeby najkrótsze szły do środka, a ku brzegom ząbka coraz się podwyższały. Ostatni rząd ząbków liczących po 10 pod. węz. i 5 p. spaja się z pikotam i poprzedniego rzędu, iż te stanowią rodzaj ażuru między dwoma rzędami pod. węzełków.



N. 14. Kamelja z piórek. Forma liścia na dodatku N. XI. Fig. 35—39.



N. 12. Przykrycie na lampę ozdobione sylwetkami. Krój i opis na dodatku N. X. Fig. 30—34.

N. 11—15.
Opisy na arkuszu z krojami.

N. 16—26. Dywan na sofę.
Haft perski.

Materjał: Czarne grube sukno na tło, cieńsze sukno koloru fijołkowego na szlaki brzeżne 18 cent. szerokie, białe i ponsowe do aplikacji. Czarny i pąsowy wełniany sutasz przerabiany w krzyżyki białe; niebieski sutasz wełniany przerabiany w biały ścieg cierniowy i zielony sutasz $^3/_4$ cent. szeroki. Włóczka angielska w 4 cieniach ponsowych, 2 jasno niebieskich, 2 jasno zielonych, 2 żółtych, biała i czarna. Włóczka andaluzyjska biała, czarna i pąsowa tak zwana hamburgska włóczka, niebieska, zielona i żółta. Kastorowa włóczka pąsowa, brązowa w 3 cieniach; jasno i złoto żółta, ciemno-fijołkowa, zupełnie ciemno zielona, czarna i biała.—Kordonkowy jedwab w kolorze, ponsowym, zielonym, jasno i turkusowo-nie bieskim, pomarańczowym, złoto żółtym, różowym, białym i czarnym; filozela niebieska.



N. 4. Krótka flanelkowa spódniczka z haftem. Deseń na dodatku N. 41.

Do roboty tego dywana użyty jest po większéj części zwykły ścieg łańcuszkowy, przyczepiany pojedyńczemi ściegami. W Numerze 41 na pojedynczych rycinach podamy zastosowania tego ściegu na różne kwiaty i liście dywana, formujące się w skutek różnych układów łańcuszkowego ściegu, zajmowanego w robocie dłużéj lub węźéj, ściśléj lub rzadziéj, prosto lub ukośnie stosownie do potrzeby i kształtu części. Do urozmaicenia i podniesienia efektu wiele przyczyniają się nie tylko odmienne kolory włóczki, ale także różnorodność użytych gatunków. Środkowe i narożne palmy dywana na czarnem suknie, są z sukna białego; każda z figur odrobionych na brzegach poprzecznych wykończa się na podłożeniu z ponsowego sukna; szlak dany w około ma za tło sukno fijołkowe.



N. 10. Brzeżek frywolitowy, robiony dwiema nitkami.



N. 8. Wstawka robiona na widełkach i z frywolitów.

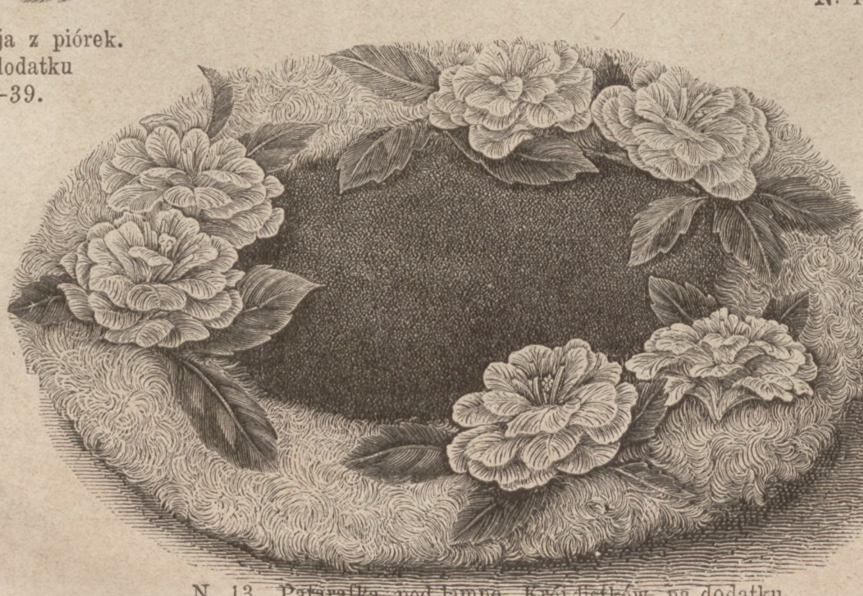
Podług kilkunastu pojedynczych rycin, jakie podaliśmy w dzisiejszym i załączymy w dalszym ciągu w przyszłym Nrze, łatwo będzie zręcznym do robót czytelniczkom wykończyć dywan perskim haftem w zupełnie nowym guście, który podajemy w maleńkim formacie na rycinie 26.



N. 15. Gałązka bzu do patarafki N. 13.

Jak to powiedzieliśmy wyżéj, robota składa się głównie ze ściegu łańcuszkowego, oprócz niego zaś przy robocie dywana znajduje, zastosowanie aplikacja z podłożeniem kolorowego sukna, haft dziergany, naszycie plecionek, ścieg zwany cierniowym, ścieg przewłóczony i t. p. sposoby haftu znane już czytelniczkom z dawniejszych numerów Tygodnika Mód. Podług rycin pojedynczych łatwo będzie dojść gdzie jakiego ściegu potrzeba użyć.

Po wykończeniu należy z lewéj strony zwilżyć równo całą robotę i rozciągnąć na podłodze przez przy-



N. 13. Pataraika pod lampę. Krój listków na dodatku N. XI, Fig. 35—39.

bicie goździkami. Nakoniec dywan otrzymuje podszewkę i oszycie brzegów frendzlą.

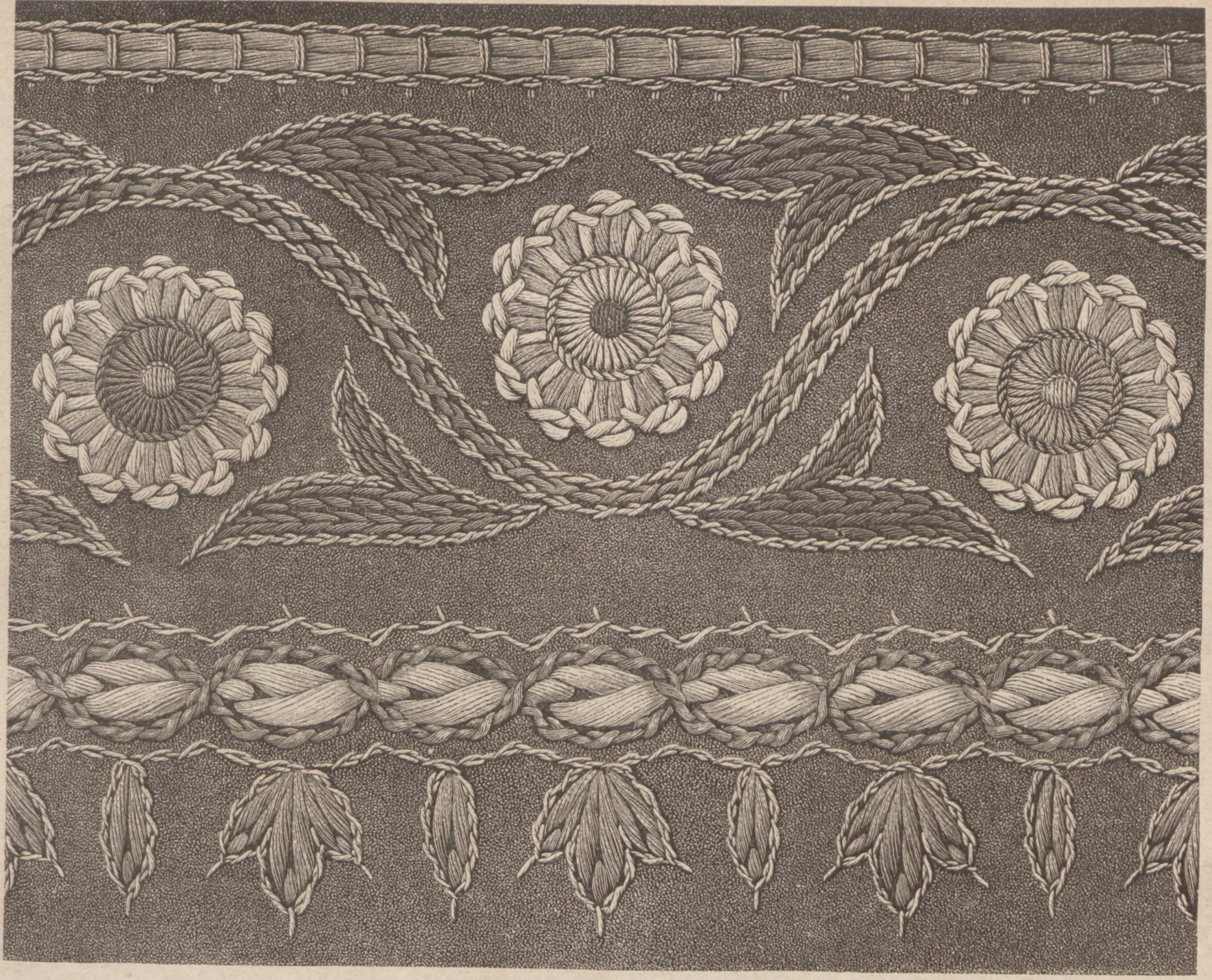
N. 27—28. Krótki jesienny paletocik aksamitny. Opis i krój na arkuszu dodatkowym.

O Ubiorach.

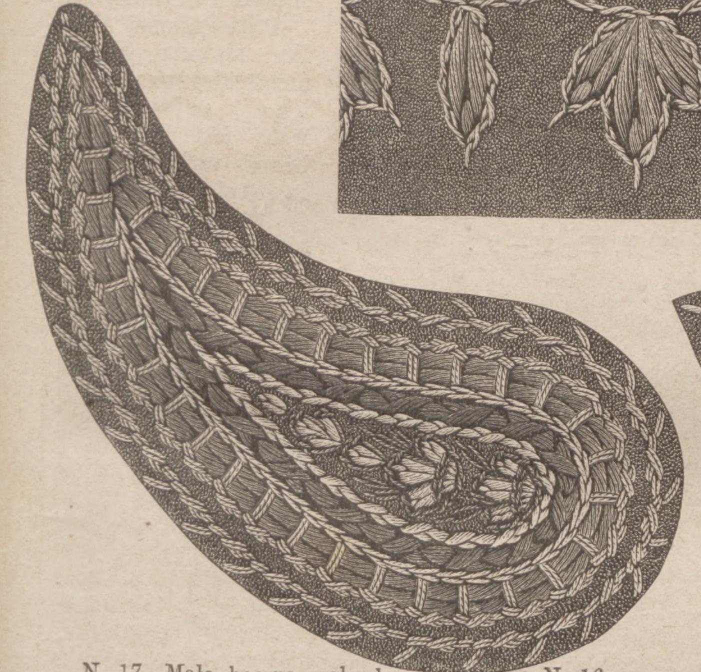
Lubo właścicielki pierwszorzędnych magazynów nie powróciły jeszcze ze swoich wycieczek zagranicę, pani Penkalowa jednak przysłała kilka modeli, których opis tu podajemy. Paletocik czyli kaftanik „Militaire“ rodzaj austryjackiego munduru, ciemno granatowy syberynowy, plecy lekko wpadające do figury, przody wolne, zapięte na dwa rzędy guzików srebrnych, schodzących się w stanie, oszyty był w około na ćwierć łokcia barankami siwemi. Wykrój szyi i rękawy w pół otwarte również oszyte futrem. Kaftanik „Minerva“ do figury. Przód wolny, u góry z odwracanemi atłasowemi pikowanemi klapami, przy końcu których dopiero powyższy kaftanik zapina się na potrzeby pasmanteryjne. Do kaftanika dla ciepła dano kamizelkę atłasową pikowaną. Wypustka popielic owa stanowi przybranie kaftanika. Rękawy paletotowe lecz nieco szersze z klapami atłasowemi pikowanemi. W ogóle widziemy iż tegoroczne rękawy u paletotów jesiennych są mniéj szerokie jak w roku zeszłym, uważamy tę modę za nader praktyczną, szczególniéj przy naszym klimacie. Cena kaftaników jest od rs. 17 do 35. Płaszczyk „Armanda“ syberynowy granatowy, z pelerynką i kapturkiem spiczastym. Sam płaszczyk i pelerynka wycięte w zęby okrągłe mają wypustkę atłasową i podpuszczaną frendzlę kordonkową, kapturek zakończony kwastem i rozetą pasmanteryjną.

Taki sam płaszczyk „Semiramis“ zwany, jest bogato sutaszowany a frendzlę ma futrzaną. Płaszczyk Madeleine z syberyny velours ciemno brązowéj, lamowany materją czarną gros grain peleryna z tyłu rozcięta do połowy i złączona pasmanteryjnemi ozdobami i sznurami na prawym ramieniu z kołnierzykiem marynarskim z gros grain'u. Cena płaszczyków zaczyna się od rs. 25 do 50-ciu. Zwracamy uwagę naszych czytelniczek, że dziś oszycia futrzane są prostą ozdobą, a nie odzieniem noszonym tylko w zimę. Byliśmy świadkami jak pewna dama, któréj jeden z tych płaszczyków nie słychanie spodobał się, jednak dla jego futrzanéj frendzli pomimo że zapewniano ją, iż to tylko ozdoba nie nabyła takowego, twierdząc iż to jeszcze za wcześnie na futra. Oprócz futer jako oszycie, używany i powrócony do mody jest dżet, który nawet używany jest ażur w miejsce wstawki gipiurowej do syberyny, aksamitu i t. d. Oprócz powyższych okryć widzieliśmy mnóstwo rotond syberynowych z kapturkami lub kołnierzykami oszytych frendzlą wełnianą, lub futrzaną. Jedna z nich miała kapturek długi, wyłożony aksamitem i przystrojony kokardami, a zakończony ozdobą z pasmanterji. Cena ich od rs 25. Ładne również wydawały nam się rotondy pluszowe na kolorowéj wrabianéj podszewce z kołnierzykami, kapturkami, oszyte frendzlą. Cena od rs. 20.

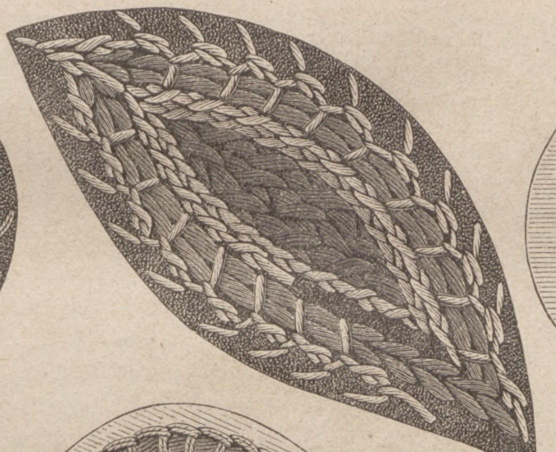
Prześliczny był paletocik aksamitny czarny z plecami wcinanemi, choć przody miał wolne podbity bielistkami, obłożony do około na półtory ćwierci łokcia szerokości wyborowemi sobolami. Prócz aksamitu i futra nie było tam żadnych wysyć, świecideł, i dla tego wydał nam się bardzo dystyngowany. Cena jego była rs. 500,



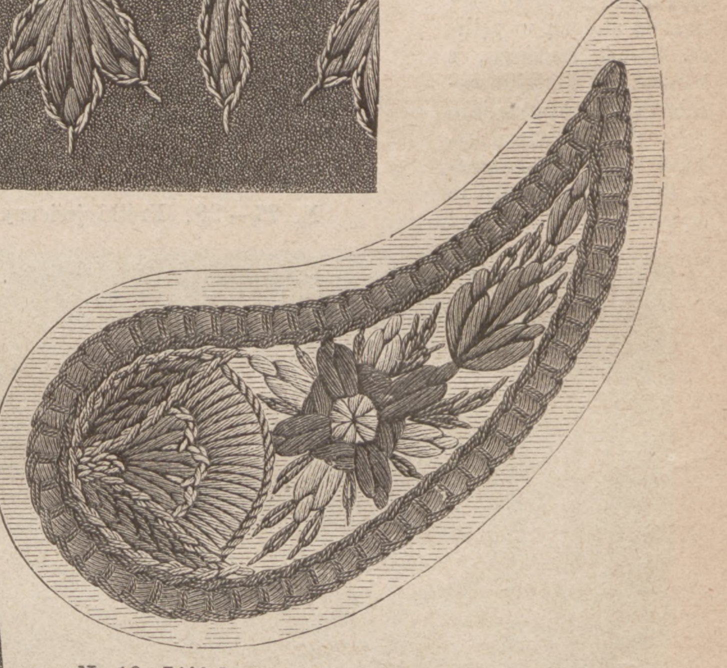
N. 16. Szlak brzeżny do dywana N. 26.



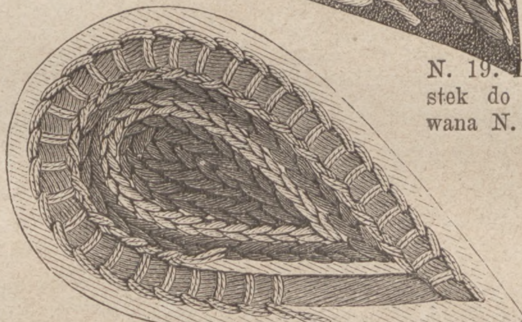
N. 17. Mała boczna palemka do dywana N. 16.



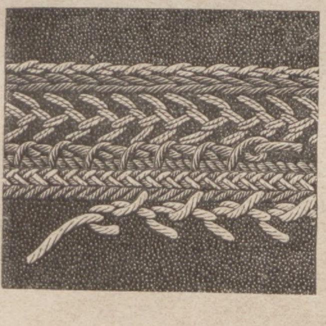
N. 19. Listek do dywana N. 26.



N. 18. Liść do dużéj palmy środkowéj.



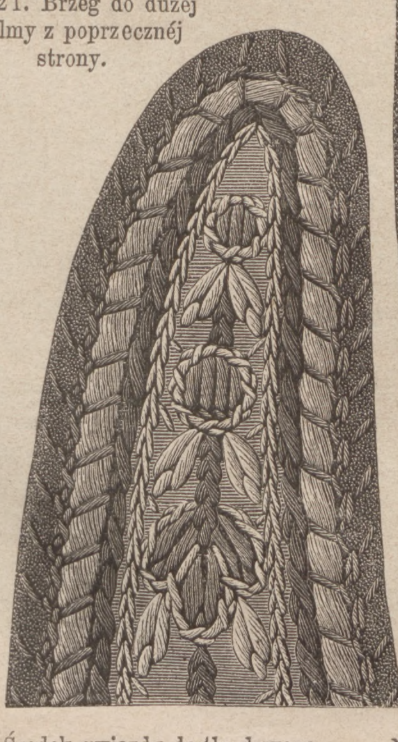
N. 20. Liść stanowiący środek palmy do dywana.



N. 21. Brzeg do dużéj palmy z poprzecznéj strony.



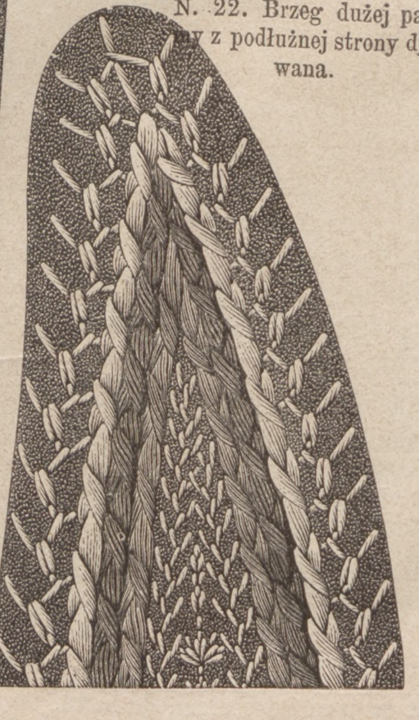
N. 22. Brzeg dużéj palmy z podłużnéj strony dywana.



N. 23. Środek gwiazdy do tła dywana.



N. 24. Część figury podłużnéj.



N. 25. Część gwiazdy ze strony podłużnéj.

dodać tu jeszcze musiemy, iż został zaraz zimitowany do jednéj z bogatszych wypraw, wykończającej się w magazynie P. Penkalowej. Oszycia takie robią się z piżmowców ciemnych, bobrów, i innych futer, ale ponajwiększej części zawsze ciemnych. Pokazywano nam także śliczny kostium przysłany przez p. Penkalowę. Zrobiony jest z popeliny Irlandzkiej koloru „Réseda", na spodnicy mieściły się cztery wolanty. Pierwszy znich na ćwierć łokcia szeroki miał tylko obrąbek, drugi na pół łokcia szeroki i wycięty w zęby trójkątne, trzeci szeroki na trzy ćwierci z wypustką i oplisowany u dołu, ostatni zaś tej szerokości co pierwszy miał zęby wycięte w trójkąt. Tiunika pompadour oszyta frendzlą, zebrana była od boków do tyłu szarfą niebieską turkusową ułożoną w pętlice. Stanik francuzki, z karoczkiem kształtu wachlarza, nad którym jako i u szyi umieszczono kokardy tego koloru co szarfa. Rękawy wązkie. Był to oryginalny kostium, gdyż każda z jego części inaczej wykonaną została, a jednak śliczną stanowił całość. Pokazywano nam również suknią której tiunika bardzo przypadła nam do gustu, zowie się „tablier". Tiunika ta złożona z przedniego brytu i dwóch tylko bocznych klinów, spinała się z tyłu rozchodząc się w ząb. Przód powinien być szeroki aby się fałdował, gdyż inaczéj spinałby się coby było wadliwem. Na zakończenie dano długą szarfę koloru sukni. Jeżeli szarfa taka która powinna być prawie długości sukni, robi się z tego materjału co suknia, w takim razie końce szarfy wycięte w trójkąt zostają garnirowane falbankami i ruszkami, jeżeli zaś jest morowa, zostaje zupełnie gładka.

(d. n.)



N. 27—28. Krótki jesienny paletocik aksamitny. Krój i opis na dodatku N. V. Fig 16—20.

KORESPONDENCJA.

Pani Salomei Bo.— Do ubrania gładkiej niebieskiej sukni jedwabnej, najwięcej używany jest biały i niebieski tarlatan. U dołu sukni dają się z niego na przemiany kolorów, bufy lub falbanki.



N. 26. Dywan na sofę. Patrz N. 16—25. Haft perski.

Przytym arkusz z krojami i deseniami do haftu.